

PISMO DLA RODZIN.

№ 15. Warszawa, dnia 3 (15) Kwietnia 1875 roku. **Rok 11.**

CENA PRENUMERATY

Warszawie z odnoszeniem do domu:		na prowincyi w Cesarstwie i Królest.	
rocznie. . . .	rs. 6 k. „	rocznie . . .	rs. 8
półrocznie. .	„ 3 „ „	półrocznie .	„ 4 k. „
kwartalnie. .	1 „ 50	w Austryi roczn.	14 guld.
miesięcznie .	„ 50	w Prusach „	24 marek.

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień, we Czwartek.

REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT NR. 30 NOWY.

Skład Główny w Warszawie, w Księgarni A. Kowalskiego przy ulicy Nowy-Swiat Nr. 39 nowy; w *Poznaniu* w księgarni Leitgebra i Spółki, we *Lwowie* w Księgarni polskiej, ulica Kopernika Nr 12 w *Krakowie* w księgarni A. Nowoleckiego *w Wilnie*, u J. Zawadzkiego.

NUMER POJEDYŃCZY KOP. 15.

Instynkt i analiza.

Porównywając nasze społeczeństwo z niektóremi narodami Zachodu, nie pod jednym względem dziwnego doznajemy wrażenia. Nie mówiąc już o ustroju politycznym, ani też o przemyśle i handlu, dość zestawić prądy czysto społeczne u nas a zagranicą, ażeby nabrać przekonania, że brak nam najelementarniejszych podstaw do zdrowego i systematycznego rozwoju. Temat ten jest tak obszerny, że czytelnicy z łatwością nam wybaczą, gdy dziś jeden tylko objaw z mnóstwa innych wybierzemy, ażeby się nad nim zastanowić.

Wiadomo, że tem pewniej i bezpieczniej możemy postępować, im jaśniej widzimy cel, do którego zdążamy, i im lepiej znamy drogę, po której idziemy. Każdy człowiek a zwłaszcza każdy naród z początku dąży do czegoś instynktowo jedynie, nie zdając sobie jasnej sprawy z tego, byle tylko iść dalej i nie zostawać na miejscu. Z rozwojem życia historycznego cele i drogi stają się powoli widoczniejszemi i bardziej namacalnemi, tak, że społeczeństwo nie omackiem już, ale ze świadomością i pewnością robi sobie jakieś plany, urzeczywistnia jakieś ideały.

Jakim sposobem z ciemnego, instynktowego jakiegoś poczucia, powstaje jasno określona myśl społeczna która jak pochodnia lub jak słońce przyświeca pochodowi narodów? Odpowiedź bardzo prosta: oświatą, czyli biorąc najgłówniejszą w tym razie część za całość: rozbiorem, analizą, krytyką tego co było i tego co jest. U narodów europejskich ta analiza i ta krytyka przechodzi od klas najbardziej posuniętych w oświacie do ciemnego dna społeczeństwa. Tam sprawami społecznemi zajmuje się na seryjo nie tylko urzędnik, nauczyciel, dziennikarz, arystokrata; ale najbiedniejszy nawet rzemieślnik lub dzierżawca. *Zajmuje się* — jestto określenie niedostateczne i niezupełne; albowiem nawet w najbiedniej umysłowo uposażonem społeczeństwie, zajęcie się sprawami ogólnemi istnieje, choćby w formie plotek. Ale nie o takiem zajęciu jest mowa. Roztrząsanie, dyskusyja, krytyka, dążność do urzeczywistnienia tego, co się za dobre i pożyteczne uważa; rozbiór poczucia instyktownego i zamienienie go na dokładnie oznaczoną myśl: oto są cechy istotnego, nie zaś pozornego zajmowania się sprawami ogólnemi

My nie stoimy jeszcze na tym stopniu *społecznego* wykształcenia. Nie tylko w masie społeczeństwa, ale nawet wśród znacznej części tak zwanej „mniejszości ukształconej,“ napotykały się przed laty i napotykają się dzisiaj czysto instynktowe popędy. Jakoż wśród tej inteligientnej mniejszości nie ugruntowały się jeszcze żadne stałe, prawdziwe przekonania. Jesteśmy pół-niedowiarkami i pół-katolikami, jesteśmy pół-Büchnerami i pół-Veuillotami, jesteśmy idealni i realni w poglądach na naukę, sztukę i rozwój społeczny. Łatwo dajemy się pociągnąć, bylebyśmy zobaczyli jaskrawe kolory lub świetny fajerwerk; gotowiśmy klaskać dwóm całkiem przeciwnem sobie zdaniom, byleby te w odpowiedniem okazały się oświetleniu, byleby nas zajęły swoją dziwacznością, lub energiją. W postępowaniu inteligientnych jednostek nie widać żadnego jasnego planu, żadnego programu. Dowodów na to nie potrzeba szukać daleko; dosyć sobie przypomnieć najbliższy nas okres czasu, i nasze codzienne sprawy publiczne.

Ten stan instynktowego poczucia, znamionujący peryjod dzieciństwa w rozwoju społecznym, uznawany jest przez niektóre inteligentnie jednostki za świadectwo względnej niewinności naszego społeczeństwa. Cieszą się oni, że istnieje jeszcze u nas zapał gdyż ma to dowodzić, że tak zwane przez nich „zepsucie Zachodu“ nie przeniknęło jeszcze do naszego organizmu. Powiadają oni, że wprowadzenie rozumu, krytyki i analizy instyktownego poczucia, powiedzie do wyparcia się tego poczucia, że skalpel rozumu rozetnie bezwstydnie najdelikatniejsze tkanki naszego moralnego organizmy. Trzymają się oni treści wyrażonej w tych dwu wierszach poety:

> Bo nigdzie snadniej jak *w ludzkim rozumie*,
> *Szatan w anioła* przemienić się umie!

Takich poglądów niepodobna pokonać i obalić jednym zamachem pióra; są one ugruntowane w sercu, a serce, jak powiada Słowacki, jest uparte. Stąd też zwrócimy tylko uwagę czytelników, którzy z podobnemi poglądami się spotkają, że wyznawcy ich nie stosują bezwątpienia swej zasady ani do sfery spraw ekonomicznych ani naukowych, i obstają przy nich tylko wtedy, gdy rzecz idzie o poezyją, o sztukę i o uczucia społeczne, które mają być kierownikami postępowania w zakresie czysto

społecznym. Już te wielkie wyjątki z ogólnej reguły dowodzą, że reguła sama nie jest należycie ugruntowana. Jeżeli bowiem w całej sferze działań ekonomicznych i naukowych analiza, rozbiór, krytyka uznawana jest za konieczny czynnik postępu; to niepodobna zrozumieć dla czegoby w innych sferach społecznej działalności ten sam czynnik miał tracić wartość swoję i znaczenie.

Powtóre musimy przypomnieć, że znajdując się wśród narodów europejskich, w których analiza rozumowa została zastosowaną we wszystkich dziedzinach życia narodowego, nie możemy bez szwanku ograniczyć jej sfery. Historyja niejednokrotnie dowiodła, że te narody, które nie dotrzymują kroku pod względem rozwoju społecznego i politycznego z innemi otaczającemi je, tracą wszelkie znaczenie, nakoniec upadają. Ktoby zaś takie stosowanie się do nastroju ogólnego społeczeństw nazwał „owczym pędem;" ten nie odróżniałby mody od ekonomiki, a blagi od systemu Kopernika. Dla tych zaś, którzy z zaciętością pomiatają rozumową analizą, przypomnimy słowa Chrystusa wyrzeczone do uczniów: „Bądźcie prości jako gołębiowie a przebiegli jako węże."

Po trzecie. Z powyższego niech nikt nie wyciąga wniosku, żebyśmy lekceważyli poczucie instynktowe, tkwiące w społeczeństwie. Naszem tylko przekonaniem jest, że tylko na tem poczuciu się opierając, można dojść do pojęcia i zrozumienia potrzeb naszego społeczeństwa, jako też środków, które te potrzeby urzeczywistnić mają. Przez całe powyższe rozumowanie tyle jedynie chcieliśmy dowieść, że owo poczucie trzeba zamienić w pojęcie świadome, w plan, w program, który należy dokładnie określić, zanalizować. Taka czynność do której zachęcamy wszystkie myślące jednostki społeczeństwa, może nas wyrwać z ciągłej niepewności i z uprzykrzonego życia z dnia na dzień.

CHRYZMAT.

Genijuszu wieku mego, — olbrzymie wspaniały,
Wlej uczuć wrzące lawy do martwego łona.
Niechaj z prochu nicości wstanie duch skarlały,
I zadrży pieśń potężna, twą siłą natchniona!

W bladej dumań godzinie, kiedy zwątpień mara,
Zimne położy dłonie na posępnej skroni,
Ty mi wtedy przyświecaj jak pielgrzymom wiara!
Orle!—niechaj twe skrzydło pierś moją osłoni!

Pod tchnieniem twej potęgi—wrzących pragnień siła
Słabą duszę umocni puklerzem ze stali,
A żądza wielkich czynów pierś martwą zapali
I stanę, gdzie przeszłości posępna mogiła
I rękoma drżącemi odgrzebię pamiątki;—
Oto drugi mój chryzmat—dawnych dziejów szczątki!

Duchu wieku mojego! świeć wiecznie nademną!
Niech blask słońca i prawdy, co lśni na twem czole,
Myśli mojej rozjaśni snów krainę ciemną!
Wieku!—daj mi do lotu swe skrzydła sokole!

A. Pilecki.

OMANKA

POWIEŚĆ

PRZEZ

Jana Zacharjasiewicza.

(Ciąg dalszy.)

Na takiem rozdrożu żebraniny a pracy uczciwej był Floryjan. Mógł już zmierzyć swoje siły, i stosowne do nich zająć stanowisko, aby użytecznie choć skromnie pracować.

Znalazł jednak wielkiego nieprzyjaciela w samym sobie, który mu tego uczynić nie pozwolił.

Należał on do rzędu owych młodych talentów którzy sobie uroili, że do twórczości i wielkości potrzeba tylko ognistej, niczem nieskrępowanej wyobraźni, i gorącego serca!

Systematyczną, porządną pracę uważano za kajdany, które obciążają wyobraźnię i ochładzają serce.

Puszczono więc swobodnie wodze wyobraźni i porywom młodego serca. Bez względu na wybór środków szukano wszędzie gdzie się dało, pożywienia dla wyobraźni i gwałtownych wzruszeń serca, a im większą był szał chwilowy, tem większe upatrywano w tem szczęście, tym obfitszy widziano zadatek przyszłej twórczości.

Niezwracano na to uwagi, że podobne bahanalia wyobraźni i młodego serca przytępiały co raz więcej szlachetniejsze struny duszy, że sam szał bez pożywczej pracy zjadał co raz więcej kapitał życia — i że w końcu ten kapitał trzeba było sztucznie podtrzymywać środkami narkotycznemi! A gdy burząca się zawsze krew w końcu zaczęła tracić wysoką swoję temperaturę, dodawano do niej fermentów alkoholicznych czy to w postaci prostych wyskoków, czy tryskającego perłami szampana!..

O taką niestety szkołę otarł się Floryjan i zdawało mu się, że to jedyna droga dla talentu!

Szkoła ta rozogniła w nim wprawdzie wyobraźnię — nerwy serca uczyniła wrażliwemi na każdy ponętniejszy widok — ale ucierpiały na tem inne władze umysłowe, których równowaga stanowi prawdziwy kapitał życia.

Przy takich przymiotach mógł się Floryjan łatwo zapalać, mógł olśnąć i wzniecić pożar. Nic więc dziwnego, że na widok pięknej Salomei stanął zdumiony i że to zdumienie jego poruszyło serce rusałki powiatowej.

Zrazu nie brał on tego wrażenia na seryjo. Drażniło to może jego próżność, że spojrzano na niego okiem nieobojętnem, że w mieście swojem rodzinnem, gdzie dawniej był tak maluczkim, otworzyły się przed nim drzwi domu, który należał do domów patrycyjuszów. A sprawiało mu to uczucie bardzo przyjemne i poszedł za tem uczuciem bez zdania sobie sprawy, gdzie go to uczucie zaprowadzić może.

Z PIĘCIU CZĘŚCI ŚWIATA.

III.

Prima haritas ab ego! W imię tej zasady zaczniemy felijeton dzisiejszy od dziejów nadwiślańskiego grodu naszego. Jak powieściopisarze wpierw, nim odkryją wnętrze duszy bohatera, kreślą zewnętrzną jego postać, tak i młodszy ich brat, felijetonista, winien najpierwej opisać wam, łaskawi czytelnicy, zewnętrzną szatę, w jaką miasto nasze w ostatnich dniach się przyoblekło.

Dziwną jest wiosna tegoroczna! Kapryśna ta pani, to ukaże nam na chwilę pogodne oblicze, to znowu, jakby zagniewana, ukrywa się w ciemnych i chmurnych mgły obłokach. Czyżby natura harmonizowała z nastrojem dusz dziennikarskich? Czy może niebo, zagniewane na niesforną dziatwę swoję, odmawia jej uroczych wiosny promieni?

Mieliśmy jednakże kilka dni jasnych, pogodnych, wśród których rozbudzająca się natura łaskawe ukazywała nam oblicze. Jeden z reporterów w wycieczce zamiejskiej słyszał już nawet śpiew ptasząt, witających wesołym hymnem uroczy świt wiosennego odrodzenia. Nie ma zaiste przyjemniejszego uczucia nad ten radosny oddźwięk, jaki znajduje w piersiach naszych pierwszy uśmiech zmartwychwstałej natury. Najbardziej nawet zniechęcone dusze czują w sobie jakby prąd nowego życia pod dotknięciem czarodziejskiej dłoni tej syreny ułudnej, którą wiosną nazywamy. A młoda pierś tem silniejszym wre i kipi ogniem. Cały świat piękniejszym i lepszym się wydaje!

Ha!—jakoś na dobre zapędziliśmy się w poezyją. Darujcie ten mimowolny objaw uczuć serdecznych felijetoniście waszemu. Posiada on bowiem z natury serce miękkie i wrażliwe. Dla tego też często występuje w obronie waszej, nadobne czytelniczki. Dziwną bo też jest ta młodzież nasza. Upojona przedwczesnym przesytem życia, zanurzając się zbyt często w mętnej kałuży, patrzy zwykle okiem niewiary na wszystko, a nawet i na was, o szlachetne niewiasty nasze. Jeden z nich np. w następujący do felijetonisty waszego wyrażał się sposób:

— Czemże jest kobieta? Jedną pięknie wyrzeźbioną bryłą, pełną nadobnych form i uroczego blasku. A wewnątrz aż strach zajrzeć, wrzy tam ukryty szał najniższych instynktów. Ucho twe pieści miękkiemi słowy, głosząc piękne i wzniosłe myśli. Opromieniona blaskiem nadziemskiego uroku, jakżeż cudną się nam wtedy wydaje. Lecz niestety jakżeż zwodniczym jest blask tej niebianki. Baw się nią, jak cackiem, lecz nie patrz w głąb' duszy!

— Zbyt pesymistycznie zapatrujesz się pan na piękną połowę rodzaju ludzkiego — odrzekłem rozczarowanemu młodzieńcowi. Wielką szczególniej krzywdę wyrządzasz *naszym* kobietom. Jest w prawdzie wpośród nich wiele lalek i to lalek zwodniczych, ale bo i gdzież złe się nie zakorzenia. Lecz większość inaczej się przedstawia. Prawda, że kobiety nasze grzeszą brakiem gruntownej nauki i jasnego poglądu na życie. Lecz ileż mimo to szla-

Tak myślał sobie idąc do dworku na kawę poobiedną.

Może inaczej zapatrywała się Salomea na swoje położenie. Babunia zwróciła jej uwagę na dzień dzisiejszy, w którym miała na seryjo o sobie pomyśleć. Być może, że sama pragnęła już tego i chętnie zastosowała się do życzeń babuni.

Śród niespokojnego oczekiwania zjawił się przed nią Floryjan, ów zatracony człowiek, o którym dawniej tyle myślała. Zjawił się w aureoli wyższego człowieka, o jakim często w książkach czytała—zjawił się z listem od wujaszka który był jej opiekunem, a o czem babunia prawdopodobnie już od kilku dni wiedziała i ją powoli do tego przygotowała.

Sytuacyja taka, gdyby jej nawet odjąć wszelki urok romantyczny, była jasna i ponętna. Uczuła więc głośniejsze bicie serca i zdawało się jej, że weszła na drogę prostą i zwyczajną, którą zazwyczaj po krótkich stacyjach przy kwiatach i łąkach, idzie się do stopni ołtarza.

Pomiędzy możliwemi dotąd konkurentami miasta powiatowego był przecież artysta najwspanialszym okazem. Mogła z nim podzielać laury europejskie i razem z nim Europę zwiedzać, do czego miała pociąg nie wysłowiony. On mógł być bohaterem publiczności, a ona bohaterką. Słowem dla kobiecego serca było zbyt wiele ponęty, aby nie zamarzyć słodko i rozkosznie przy rzewnych tonach tak wymownej wiolonczeli!...

To też przywitano Floryjana serdecznym uściskiem ręki, pod wiolonczelę jego podłożono wielką wełnianą chustkę, aby od twardego stołu nie cierpiała, i okazano mu cały szereg białych ząbków nie licząc w to pięciu dołków na blado-rumianej twarzyczce.

Artysta przyjął z wdzięcznością co mu na ten raz dano i usiadł do fortepijanu, aby mały duecik do kawy z plackami przygotować.

Rozumi się, wybrał kompozycyję, w której wiolonczela ma pierwszeństwo, a fortepijan tylko słabo jej towarzyszy.

— Nigdybym temu niewierzył—mówił śród próby — ktoby mnie był powiedział, że dzisiaj będę grał z panią w tym białym dworku, na który dawniej z taką trwogą patrzałem przez szyby domku rodzinnego!

— Dla czego patrzałeś pan z trwogą? pytała Salomea miękkim głosem, uderzając po raz trzeci jeden i ten sam klawisz.

— Byłem w oczach pani wtedy tak maluczki! westchnął artysta i zatrząsł włosami.

— Nie chcę pana psuć mojem szczerem wyznaniem...

— Wyznaj pani choćby rzecz najgorszą... *b moll!*

— Ależ ta byłaby rzeczą dla pana.... przyjemną!

— Czyż może być jeszcze jaka przyjemność dla mnie w życiu!.... *fis fis!*

— Mówisz pan jak Bajron!

— Bajron był wielkim — w balu swoim! *cis — d!*

— Przecież pan na taki ból skarżyć się nie możesz!

— Ból osamotnienia w świecie jest najstraszliwszym bólem!.... *gis — a!*

Salomea spoczęła chwilę. Nuty splątają się jakoś.

— Bierz pani dalej.... *fis — a — gis!*

— Nie mogę dobrze się w nutach rozpatrzyć.... czy ta samotność tak panu dokucza?

— Samotność? Czy może być co straszliwszego jak samotność, jak pustynia w koło nas! Czy słyszałaś pani kiedy „pustynię“ Dawida? Cóż to za wspaniała a zarazem przerażającą kompozycyja!...

Floryjan odsunął lekko rękę Salomei z klawiszów i wziął kilka taktów z „pustyni“ Dawida.

Salomea wstrząsła się.

— W samej rzeczy — rzekła — to jest coś okropnego — taka dzika, jednostajna pustynia!

Floryjan grał dalej.

— A przecież i ta pustynia nie jest bez pewnej rzewnej melodyi! mówił śród akordów.

— To prawda! westchnęła Salomea.

— Ale tej rzewnej melodyi zazwyczaj nikt nie słucha, prócz huraganu lub ciszy grobowej, skamieniałej!...

— Prawda!

— A to jest właśnie rzecz najboleśniejsza! Głosów naszej duszy nikt w osamotnieniu nie słucha.

Salomea westchnęła.

— Tak mówił dalej Floryjan — dusza artysty jest skazana na takie osamotnienie.

— Przecież niekoniecznie potrzebuje się tak osamotniać! Przecież i w tej pustyni słychać odzywające się różnorodne głosy.

— Ale są to zawsze głosy pustyni!

— Przecież od nas zależy, aby ta pustynia, nie była.... pustynią!

— Zawsze nią pozostanie!... Im większa wrzawa w koło artysty, im ludniej i tłumniej— tym więcej samotnym czuje się on na świecie.

— Po cóż ciebie tak dręczyć imaginacyją, gdy rzeczywistość może mieć na to skuteczne lekarstwo!

— Dla nas nie ma nigdzie lekarstwa! Boleść jest naszym stanem normalnym i jedyny warunek naszej twórczości. Daj nam pani zadowolenie, a znikniemy z piedestala i staniemy się ludźmi zwyczajnymi.

Salomea zamyśliła się.

— Przecież można jedno z drugiem pogodzić—nieśmiało ozwała się po chwili.

Floryjan wstrząsł włosami jak lew grzywą.

— Nigdy—westchnął — przenigdy! Gdzież znajdziesz pani drugiego człowieka, któryby z artystą chciał dobrowolnie iść po ciernistym gościńcu jego żywota?.

Salomea spuściła oczy i zaczęła skubać rąbek wstążki.

— Powiedz mi pani — mówił dalej artysta, czy mógłby się kto znaleść, któryby chciał taką ofiarę z swego życia zrobić?...

— A gdyby to nie było ofiarą ale szczęściem.

— Szczęściem! Szczęściem! tylko wyższe dusze, tylko podniosłe serca mogą marzyć o tem!

---

chetnych i wzniosłych uczuć żywią ich dusze. Ileż mamy prawdziwie poświęcających się matek, wiernych żon i cnotliwych dziewic?.. Brakuje nam wprawdzie obywatelek—lecz i one z postępem czasu się znajdą.

— Ależ wierz pan cnocie niewieściej! To tylko maska obłudy, pokrywająca buduarowe tajemnice.

— O panie, gdybyśmy tak na wszystko patrzeli przez ciemne okulary, to ileż smutniejszych barw w naszem życiu dopatrzyć by można.

Wtem nadchodząca dziewica przerwała nam rozmowę.

Pesymistyczny młodzian zwrócił się do niej z galanteryją i wyzywającym uśmiechem donżuana.

Że kobiety nasze nie są tak złe, jak niektórzy rozczarowani młodzieniaszkowie sądzą, dowodzi jasno p. *Feliks Kozubowski*, autor wierszyka p. t. „*Z rzeczywistości*,“ drukowanego w przedostatnim N-rze Tygodnika Illustrowanego. Oto szan. wierszopis powiada:

„Że choć w Warszawie postęp szalony.
Są zacofane jeszcze kobiety,
Co wolą umrzeć—niż być *towarem*“

Tak jędrnemi słowy maluje p. K. los kobiety, która padła martwa u stóp ołtarza z zamarłą na ustach przysięgą, przykuwającą ją wiecznymi śluby do łona bogatego lecz starego adonisa: Wszystko to być może, lecz, niestety, prawa fizyjologiczne są kapryśne dosyć i nie zawsze ulegają zachciankom wierszopisów. Rzecz to zbyt wyjątkowa, a w sztuce—zanadto oklepana.

Tę nieudatność treści wynagradza p. K. prawdziwą szczytnością formy. Słuchajcie i podziwiajcie!

Długo westchnienia biała pierś *roni* (!)
Znać w duszy tęskno, a w sercu żal; (szczególniejszy podział uczuć!
Blondwłosą główkę *wsparła na skroni* (!)
I duma, patrząc *w błękitną dal.*

Nie wiemy zaiste w jaką: błękitną, różową, czy zieloną może dal tę spoglądał natchniony wieszcz, kiedy przed oczyma jego snuły się te oryginalne obrazy.

Ale jeszcze *a propos* poezyi. Mimo doniosłych głosów ubolewających nad zmateryjalizowaniem obecnego społeczeństwa, widoczną jest jednakże rzeczą, że iskra uczuć nie zagasła w piersiach naszych. Najlepszym tego dowodem są liczne edycyje utworów poetycznych. Niektóre z nich ukazują się nawet w nadobnej zewnętrznej szacie — ozdobne ilustracyjami, odźwierciadlającemi w pięknych barwach myśl poety. Zaiste pod ołówkiem tak znakomitego rysownika jak p. *Andriolli* odżyje ona całą pełnią życia i piękności. Obce piśmiennictwa posiadają wiele podobnych wydawnictw. Niechaj i nasi wydawcy pójdą za ich przykładem!

Chociaż prasa nasza naśladuje pod wielu względami zagraniczną, jednakże nie wszystko co jaśnieje na widnokręgu życia i publicystyki europejskiej, i u nas się objawia. Ot teraz np. dziennikarstwo Augsburskie żywo zajmuje się ważną i głośną bardzo sprawą. Jeden z redaktorów skazany został na miesiąc więzienia, nie za przekroczenie drukowe, lecz za niegodziwe obchodzenie się z własną

Ciemno-brunatne oczy spotkały się z niebieskiemi oczami Salomei.

— Więc mogą być przecież tacy ludzie na świecie! z cicha wyszepnęła.

— Być może, że są — nie przeczę temu... ale jak trudno ich znaleść!

— Trzeba szukać!

— Szukać! Szukać — to słowo okropne! Przysłowie powiada: Szukaj wiatru po polu! Jak to dosadnie maluje nasze pragnienia. Szukać po pustem polu, oglądać się na wszystkie strony świata czuć na skroniach, że wiatr gdzieś jest! gdzieś wieje, ale.... nie można go nigdzie znaleść, nigdzie obaczyć...

Floryjan wziął tutaj ostatnie, przerażające akordy i cofnął ręce od klawiszów, na które wróciła teraz nie śmiało drobna i pieściwa rączka.

Tony, które się z pod tej rączki teraz wymykały nie były tak groźne i wspaniałe jak akordy „puszczy“ — ale ciche i słodkie przesuwały się po marzeniu duszy jak lekki swawolny wietrzyk przesuwa się rozkosznie po kwiatach wiosny.... Wreszcie urywały się tony jeden po drugim a na ich miejsce wypływała jakaś prosta lecz rzewna piosenka...

— To moja piosenka z harmonijki! zawołał młody entuzyjasta i pochwycił za drobną, białą rączkę — ta piosenka należy do mnie!

— Wszak jej panu nie biorę! odparła z uśmiechem Salomea usiłując uwolnić uwięzionego jeńca — wszak tej piosenki nie biorę — ale owszem oddaję ją panu po starannem, dziesięcioletniem przechowaniu w pamięci! Może się ona przyda panu w tej srogiej pustyni, o której pan mówisz z taką grozą.

Floryjan ucałował mały paluszek swego jeńca.

— O dzięki składam pani za ten skarb moich wspomnień—zawołał w zapale — przyjmę go jako drogocenny klejnot i wplotę w cierniowy wieniec moich marzeń młodocianych.

— A cóż pan za to w zamian w mojej pamięci zostawisz? zapytała z uśmiechem Salomea.

— W zamian.... w zamian zostawiam.... chcę, pragnę zostawić pani to wszystko, co tylko —

W tej chwili trzeba było przerwać, bo silna woń kawy buchnęła teraz z otworzonych drzwi, a na progu pojawiła się babunia w świeżym czepku i z tacą w ręku, na której stały nie bardzo spokojnie dwa ogromne, brzuchate imbryki.

— Zamknij drzwi Salusiu — rzekła do romantycznej pary—a bo możesz i pan to uczynić jako bliższy progu — dodała zwrócona do artysty.

Floryjan poskoczył do progu aby rozkaz babuni wypełnić i silną ręką zaczął zamek przyciskać.

Salomei ta przerwa nie bardzo się podobała. Kawa babuni przerwała rozmowę w miejscu najciekawszem. I nie tylko kawa zagrażała teraz rozmowie, ale sama babunia wysiliwszy się na sporządzenie tak znakomitego specyjału, usiadła bezwładnie na fotelu z widocznym zamiarem, aby się z niego nie tak łatwo podnieść. Dalsze więc sporządzenie podwieczorku spadło na barki Salomei, która z wyżyn muzyki i poezyi będzie musiała prawdopodobnie odejść teraz do kuchni i dalszą robotą pokierować.

Mimo to wszystko czuła się w tej chwili bardzo szczęśliwą. Serce biło żywiej, myśli i marzenia postępowały raźniej, a co raz uroczej i rozkoszniej.... pierś była pełna jakiegoś nie wysłowionego uczucia...

Ach jakże ten świat teraz był piękny! Ludzie byli aniołami! W tej chwili przycisnęła by cały świat i wszystkich do swego łona, wszystkich by kochała!...

Gdyby tylko jeszcze choć chwilkę użyczono jej swobody do rozmowy, do dokończenia tych pięknych słów, które się urwały przy nadejściu babuni.... Jakże by rada była, gdyby choć pani aptekarzowa w tej chwili nadeszła i babunię do rozmowy wciągnęła. Jakże serdecznie uściskałaby ją za to!...

Takie myśli przebiegły szybko jak błyskawica przez młodą, rozpaloną główkę, gdy babunia właśnie gotowała się po chwilowym wypoczynku do rozmowy z Floryjanem.

Salomea bała się tej rozmowy, bo babunia mogła szorstkiem słowem swojem przepłoszyć owe rozkoszne słowa, które z ostatniej rozmowy u Floryjana zostały na przechowanie...

Szczęściem, że Floryjan w tej chwili nie był usposobiony do rozmowy babuni. Chcąc bowiem jej rozkaz ostatni wypełnić należycie, usiłował z całą siłą wprowadzić drzwi w takie położenie, aby można o nich powiedzieć że są zamknięte. Tego jednak dokonać nie mógł. Im więcej drzwi do ściany naciskał, tem więcej opierała się temu jakaś siła niewidzialna. Nie pomógł i łokieć ręki! noga wreszcie, którą przyzwał do pomocy — drzwi odsuwały się od ściany, i chciały się gwałtem na rozcież otworzyć. Biedny artysta zaczął już wierzyć w jakieś figle czarodziejskie lub psotę szatana. W tej wierze utwierdzały go jakieś tajemnicze, zaledwie zrozumiałe słowa, które z po za drzwi wychodziły.

— Puść mnie kochanie — ja mocniejszy! ozwał się jakby z głębi komina głos grobowy...

I w tej chwili trącony drzwiami artysta zatoczył się aż na środek salonu, a w progu ukazała się uśmiechnięta twarz starego człowieka w zielonym surducie. Za zielonym surdutem widać było kapelusz z żółtemi kwiatkami i lśniący cylinder aplikanta.

— Jak widzę — ozwał się stary kasyjer pocierając stłuczoną rękę — jak widzę, do państwa trzeba teraz drzwi przemocą zdobywać! Zdaje mi się, że nawet palec uszkodziłem sobie.

— A niechże cię nie znam kochany sąsiedzie! zawołała śród śmiechu babunia — o mało żeś nam nie zabił naszego grajka, który właśnie wam na cześć zagra razem z Salomeą.

I babunia zaczęła się śmiać serdecznie.

Dla Salomei byli goście jakby z nieba zesłani. Zdawało się, że sam Bóg wyczytał

żoną. Fakta podobne wywierają nawet wpływ nie mały na losy dziennikarstwa. Oto szanowny redaktor opuścił z powyższej przyczyny kierownictwo pisma. U nas dotychczas dzięki Bogu, domowe sprawy redaktorów nie wpływają tak stanowczo na dzieje piśmiennictwa. Snadź biedni niewolnicy hymenu znoszą w pokorze brzemię władzy niewieściej.

W ogóle też dziennikarstwo nasze świetnie rozkwita. Niektóre organa prasy znakomicie pojmują swoje zadanie. Do rzędu ich należy *Izraelita*. Sądzilibyśmy że pismo to ma za cel oświecanie ubogiej duchem współbraci, rozproszenie ponurego mroku ciemnoty w niższych warstwach żydowszczyzny. Tymczasem przepraszamy, omyliliśmy się grubo. Izraelita upatruje swe zadanie w przelewaniu w umysły czytelników swoich ciężkich wytworów filozofii niemieckiej, rozrobionych w ciepłej wodzie frazeologii. W roztworze tym znajdują się niekiedy dziwnie oryginalne płody myśli głębokiej. Oto p. *Bernard P.* przeczuwa wieszczym duchem że „obecny wiek nasz jest porą, w której zespolenie materyjalizmu z idealizmem nastąpi.“ (składnia autora) A oto posłuchajcie, co mianowicie świadczy o tem, że zlanie to powoli już się dokonywa. Oto „wszystkie gałęzie przemysłu, handlu, rzemiosła, rolnictwa, i t. d. wchodzą z każdym dniem na nowe progi ulepszeń.“ Co za pyszna konsekwencyja; przypominająca zaiste wiekopomne utwory Rozbickiego.

Ciekawi jednakże jesteśmy, dla kogo mianowicie Izraelita podobne miksturki przygotowuje. Czy dla ciemnej warstwy?—alež ona nic a nic tu nie zrozumie; czy dla oświeconych współwyznawców? — lecz ci znajdą gdzieindziej lepszą w tym rodzaju strawę umysłową. Jedna tylko rubryka „Pogadanek“ ma pewną żywotność i znaczenie. Wartoby w samej rzeczy pomyśleć głębiej nad zadaniem pisma i lepiej je zrozumieć, zamiast podnosić różnobarwne szmatki, tworząc w ten sposób pewnego rodzaju *omnibus literacki*, gdzie każdy ma niby znaleść coś pożytecznego dla siebie. Trudno, łaskawi panowie, wszystkim dogodzić niepodobna, tembardziej, że są tacy, którzy tego od Izraelity bynajmniej nie potrzebują.

Jeszcze jedna uwaga. Izraelicie zdaje się zawsze iż winien być obrońcą pokrzywdzonych w jego mniemaniu współwyznawców. Niechno kto cośkolwiek powie o żydach, niech jakąkolwiek ukaże w nich wadę, choćby najsłuszniejszą nawet, waleczny przewódca judaizmu staje wnet do boju i ostremi słowy gromi przeciwnika. Czy tym sposobem można dodatnio wpływać na zlanie się dwóch warstw społecznych? Zamiast zażegnać burzę niechęci, Izraelita podnosi wciąż sztandar walki, drażniąc oba obozy.

Darujcie nam, łaskawi panowie, te kilka uwag, które nie wypływają bynajmniej z niechęci ku wam, lub współwyznawcom waszym, lecz powstają jedynie w imię wspólnego dobra naszego. Szanujmy się nawzajem, lecz dozwólmy też sobie słowa prawdy powiedzieć!

Zaiste, nie chcielibyśmy się narazić na gniew publicystyki naszej i.... na ujmującą grzeczność p. *Gasnera*. Szanowny Germanin w zamian za obfity grosz, płynący z hojnej ręki Warsza-

niemą jej prośbę w tajni serca i zesłał państwo kasyjerowstwo wraz z kuzynkiem na samą porę.

Z iskrzącem okiem, z rumieńcem na twarzy pobiegła do starego kasyjera, który zdobywszy pierwszy wnijście do salonu nie pozwalał nikomu wyjść na przód — uścisnęła go serdecznie a nawet w lewą klapę zielonego surduta pocałowała.

Po tym serdecznym afekcie nastąpił drugi dla pani kasyjerowej. Rzuciła się na nią z całą siłą przepełnionego serca, wzięła jej szalik jedwabny z brożką w miłosne objęcia i na jej twarzy i rękach wycisnęła jedenaście pocałunków, aż biedna kasyjerowa głęboko odetchnąć musiała.

Do gości dzisiejszych należał Karol. Nieśmiało, z twarzą zarumienioną, a niespokojnym okiem zbliżał się do niej. Widać było po jego piersi, że urywa oddech, aby długiem westchnieniem nie wybuchnął od razu... Chciał wyciągnąć rękę do przywitania, ale ręka zbyt mu drżała... zbyt wiele ludzi było na takie spotkanie.

Dodała mu odwagi Salomea. Z tym samym afektem, z jakim ucałowała zieloną klapę surduta i brożkę z jedwabnym szalikiem uścisnęła.... z tem samem roziskrzonem okiem i bijącemi pulsami, z jakiemi marzyła jeszcze o urwanych i niedopowiedzianych słowach artysty — zbliżyła sie do Karola i z taką serdecznością rękę mu uścisnęła, że biednemu aplikantowi nagle cały świat w kółko się zatoczył.

— Ach panie Karolu! rzekła do kuzynka przyjaciółki babuni — pan nie wiesz, jaką przyjemność sprawiasz mi pan dzisiaj!... Zdaje mi się nawet, że o panu śniłam w nocy dzisiejszej...

— Oby pamięć pani odrzekł uszczęśliwiony aplikant — była dla mnie na jawie tak życzliwą jak we śnie.

— Wiem z góry — odparła szczęśliwa Salomea — że pan sam nie wierzysz w swoje powątpiewania. Inaczej sprawiło by to wielką boleść!

Rzekłszy to podała mu jeszcze raz rękę i spojrzała na niego okiem wilgotnem. Twarz Karola zarumieniała się rumieńcem szczęścia. Podniósł rękę do ust i ucałował...

— Patrz Michasiu — szepnął stary kasyjer do ucha żony, gdy babunia do imbryków się zbliżyła — patrz jak go serdecznie wita! Oho ho! Już widzę na przód ładne, dobrane stadło!... Będzie miał komu organista „Veni Creator" zaśpiewać — jakby się w korcu maku szukali!... Patrz jak cudownie ona wygląda przy jego twarzy zarumienionej!... Ha, niech im Bóg błogosławi! O szczęście teraz bardzo trudno!... Spokojnie umrę, gdy Karol odejdzie z bukietem i pierścionkiem od ołtarza...

IX.

Już słońce zbliżało się ku zachodowi, gdy kasyjerowa pozbywszy się więzów światowych, jak zwykle czarną mantynową suknię nazywała, w wygodnym szlafroczku usiadła na dużym krześle przy oknie, skąd był widok na ogródek, zasadzony fasolą i burakami.

Kawa z plackami, muzyka i rozmowa z panią Rabsztyńską zaprzątały jeszcze jej głowę. Wszystkiego tego było za wiele na raz, a wszystko było smaczne, dobre i pomyślne. Patrząc pomiędzy tyczki fasoli, zarumienione blaskiem zachodzącego słońca, snuła na nich jakieś bardzo przyjemne obrazy, które jej twarz składały do łagodnego uśmiechu.

Nagle pomotały się te obrazy. Tyczki fasoli zaczęły się chwiać na tę i na ową stronę, a z pomiędzy nich wynurzyła się powoli ciemna postać w zielonym surducie.

Kasyjerowa otworzyła okno i zawołała na męża.

— A cóż to znowu robisz? Znalazłeś sobie drogę przez fasolę! Niedość, że kilka tyczek złamałeś, ale cudzym ludziom pokazujesz drogę! d. c. n.

ZARYSY
Gubernij północno-i południowo zachodnich.

Skreślił
Jan ze Śliwina.

IV.
Gubernija Kowieńska.

Gubernija Kowieńska z zachodu stanowi krańcową część Litwy i Rusi, sięgając do morza Baltyckiego; granice jej stanowią: na północ i na wschód Kurlandyja; na południe gubernija Wileńska, na zachód Prusy. Okrąg granicy do koła całej gubernii wynosi 188 mil, czyli 1,316 wiorst.

Do składu tej gubernii weszła starożytna Żmudź, zwana po łacinie *Samogitia.* Nazwisko Żmudzi, podług Balińskiego pochodzi od *Ziemaj*, nizko, skąd lud tamtejszy nazywa siebie *Żemajtis*, Żmudzinami, a ziemię swoję *Ziemajcjej*, *Ziemajczis*, czyli krainą niższą, od tej która *Auxtote* czyli wyższa jest nazwaną. Żmudź z Litwą jeden stanowią naród, wszakże od początku wieku XIII, ziemia żmudzka stanowiła niejako oddzielne księstwo, którego ostatnim księciem był sławny Kiejstut, a nawet i po podziale kraju na województwa, Żmudź zachowała nazwę księstwa i była rządzoną nie przez wojewodę, ale przez starostę. Historyja Żmudzi jest nader ciekawą; mało wszakże mamy źródeł do wykrycia tych tajemnic, które kryją w sobie wieki odległe. Kiedy Teutonowie osiedli w sąsiedztwie, Żmudź najwięcej narażoną była na ich krwawe najścia i dzielnie broniła swych bogów, jakoż bałwochwalstwo przetrwało tu najdłużej w Europie, gdyż jeszcze w XV wieku ślady były jego widoczne. Kraj lasami pokryty potrzebował szlaków, czyli traktów, które go przeżynały i główniejsze punkta z sobą łączyły. Stąd i sam podział dawnej Żmudzi składał się z traktów: Zapuszczańskiego, Laudańskiego, Datnowskiego, Pernarowskiego, Kompowskiego, Golniewskie-

wian do wiecznie nienasyconej jego kieski, odpłaca się im prawdziwą galanteryją i uprzejmością. Czasem tylko daje małe napomnienia niesfornym gościom. Oto jeden z nich naprzykład, nie dostrzegłszy właściwego ogłoszenia, śmiał dotknąć się z lekka znakomitego okazu jego muzeum. Ujrzawszy to, szanowny gospodarz oporządził należycie oblicze niegodnego zuchwalca, i w uprzejmy nader sposób skrócił mu komunikacyją z dolną częścią apartamentu swego!!! Godną zaiste podziwu jest chrześcijańska pokora ducha napomnianego jegomości, który z największą flegmą przyprowadziwszy do należytego stanu pokrzywdzone części ubioru, udał się zapewne na łono rodziny, aby ukoić zbolałe z przyczyny tej zniewagi serce. Tak to bywa tym, którzy śmią naruszać spokój wielkościom europejskim. Drzyjcie, o lekkomyślni!

Trudno bo nie przebaczyć p. Gasnerowi tej drobnej bagatelki, choćby dla tego, że szanowny mąż ten ukochał serdecznie miasto nasze. Doprawdy, łzy rozczulenia stanęły nam w oczach, po przeczytaniu czułego podziękowania, jakiem żegnał nas.... na zawsze może.

Widocznie jednak jakaś deputacyja obywatelska, o której, rzecz dziwna, nie dowiedziawszy się dotąd, udała się do uczonego męża z prośbą o uszczęśliwienie nas choć na dni kilka jeszcze pobytem swoim. Mimo bowiem uroczystej obietnicy wyjazdu, p. G. postanowił na krótki czas jeszcze u nas zabawić. Cześć ci i dzięki, o szlachetny panie!..

Miłość, jaką zagraniczni spekulanci żywią ku groszodajnej Warszawie, odpłaca się z jej strony również gorącem uczuciem. Zaledwie zawitał do nas p. *Salamoński*, tłumy wielbicieli jego pospieszyły na powitanie dawnego znajomego. Szczytnym był prawdziwie widok zapału, z jakiem różnobarwne tłumy publiczności zdobywały pustą kasę szanownego Dyrektora — ażeby należycie ją napełnić. Byli nawet szlachetni mężowie, którzy nie wahali się staczać krwawej walki, w przedsionku tej świątyni artystycznej. — Słowem widok był prawdziwie pouczający.

To też wielu *kutturtregerów zachodu*, słysząc od kamratów swoich o gościnności i bogactwie naszego miasta, zebrawszy co prędzej manatki, śpieszy szybko do tej wsławionej Warszawki, gdzie ich nakarmią, napoją i hojnie złotem obdarzą. Jeden z podobnych spekulantów, dowiedziawszy się o powodzeniu psiej opery u nas, pomyślał sobie: „Co to będzie, jak ja im nie psów, ale śpiewających ludzi naszych pokażę!" I otóż szanowny mąż ten powziął natychmiast zamiar odwiedzić miasto nasze co wkrótce ma uskutecznić.

Tymczasem czekajmy cierpliwie i zadawalniajmy się tem, co nam *swojska lira muzyczna* nuci. A szanowna ta pani nadzwyczaj jest dla nas łaskawą. Z prawdziwem zaiste poświęceniem zajmuje się ona popularyzowaniem znakomitych płodów swej twórczości, produkując każdy z nich po wielekroć razy, aż do skutku, to jest dopóki wszystkie katarynki miejskie nie wyręczą jej w tem popularyzowaniu.

Od czasu do czasu obiecuje też nam nowości i skoro ogłosi, że odbywają się np. próby

go i innych. Później wszakże księstwo żmudzkie dzieliło się na 28 powiatów. *).

Oprócz traktu Zapuszczańskiego, czyli kraju zaniemeńskiego, który wszedł do składu dzisiejszej gubernii Suwalskiej (dawniej Augustowskiej) w królestwie polskiem, cała właściwa Żmudź stanowi dziś guberniję Kowieńską, a mianowicie: powiaty — 1.) *Rosieński*, 2.) *Telszewski* i 3.) *Szawelski*. Powiaty: 4.) *Kowieński*, 5.) *Poniewieżski*, dawniej Upitski należały do województwa Trockiego; powiaty: 6.) *Wiłkomierski* i 7.) *Nowoaleksandrowski* (dawniej Widzki, a jeszcze przedtem Brasławski) do województwa Wileńskiego.

Najważniejszą zatem ludność gubernii Kowieńskiej stanowią Żmudzini i Litwini.

Te siedem powiatów, które wyżej wypisaliśmy, utworzyły guberniję Kowieńską zaledwo w r. 1843; przed tem zaś powiaty te należały do gubernii Wileńskiej. Nad to gubernija dzieli się jeszcze na 31 cyrkułów pod względem policyjnego zarządu, oraz 79 cyrkułów żandarmerii; 33 zarządy włościańskie i 60 gmin skarbowych włościan. Miast, 9 miasteczek 251, gmin włościańskich 146, a w nich 1023 włości i 3092 wsi włościan skarbowych. Ogólna zaś liczba wszystkich osad wynosi 15,932, a w nich 85,899 domostw.

Pod względem zarządu duchownego, gubernija Kowieńska stanowi wikaryjat prawosławnego arcybiskupstwa Wileńskiego. Biskup — Wikary ma rezydencyją *w Pożajściu* tuż przy Kownie. Gubernija Kowieńska stanowi odrębną dyecezyją rzymsko-katolicką, pod nazwaniem *Żmudzkiej* albo *Telszewskiej* dla tego że przed rokiem 1866 biskup mieszkał *w Worniach*, w powiecie Telszewskim, gdzie był konsystorz i seminaryjum, przeniesione do Kowna, gdzie dziś i Biskup dyjecezalny ma mieszkanie. Sufragan Biskup obecnie mieszka w Mitawie. Do tej dyecezyi, oprócz gubernii Kowieńskiej, należy także pograniczna Kurlandyja. Dyecezyja dzieli się na 17 dekanatów *) w których kościołów parafijalnych i filijalnych 433, klasztorów 5 **). Kapitułę, oprócz biskupa i sufragana stanowią 5 prałatów i 2 kanoników; księży świeckich i zakonnych 340, zakonnic 53, alumnów wsyminaryjum 38. Ogólna ludność dyecezyi wynosi 1,047,084 katolików.

Przestrzeń całej gubernii wynosi 741 kwad. mil, czyli 36,347 wiorst kwadratowych, albo 3,723,000 dziesięcin. Ziemi ornej 2,052, 187 dziesięcin, lasu 506,563, łąk blisko 500 tys. dziesięcin.

W gub. Kowieńskiej na 1 wiorstę kwadratową wypada $31,_{8}$ mieszkańców. Pod tym względem zajmuje ona trzecie miejsce w gubernijach zachodnich ***). Podług statystycznych danych z roku 1872 suma ludności wynosiła 1,157,043 głowy, z tych 563,038 mężczyzn i 594,005 kobiet.

Pod względem szczepowym ludność gub. Kowieńskiej jak już zauważyliśmy stanowią Litwini i Żmudzini. Mamy tu wszakże Rosyjan, Polaków, Niemców, Karaimów, Tatarów i Żydów.

Liczba Litwinów i Żmudzinów koło 920,000, wyznania rzymsko-katolickiego; ****) Wielkorosyjan, których pierwsze nieliczne osady sięgają odległych czasów, głównie zaś przesiedlili się w XVII wieku za czasów patryarchatu Nikona, liczą do 44,000, z tych prawosła wnych 23,000, reszta roskolnicy. Polaków w liczbie szlachty i po niektórych miastach liczą do 3,000. Niektórzy osadnicy niemieccy pochodzą jeszcze z czasów krzyżackich; liczba ich wynosi do 45,000, wszyscy wyznania luterańskiego i kalwińskiego, wszakże do ostatnich należą niektórzy ze szlachty i włościanie w okolicach Birż. Karaimi jak również Tatarzy osiedleni tu przez Witolda w XIV stuleciu. Karaimów liczą do 500 a Tatarów mahometańskiego wyznania do 700. Żydów przeszło 150,000.

Pod względem podziału ludności na klasy w r. 1870 liczono: szlachty 64,000, mieszkańców miast 260,000, Duchowieństwa wszelkich wyznań (z rodzinami) 1,444, włościańskiej ludności do 800,000.

Niemamy pewnych źródeł do określenia ludności w gubernii Kowieńskiej *wyłącznie*. Stosując wszakże wyliczenia ostatnie statystyczne akademika Buniakowskiego co do ruchu ludności w Rosyi Zachodniej, wypadnie 5% rodzących się i blizko 4% umierających, a zatem mamy 1% wzrostu ludności, co też i na innem polu sprawdza się, gdy podług rządowych źródeł ludność w gub. Kowieńskiej od r. 1870 do 1872 zwiększyła się o 1,002 głowy. Największa śmiertelność, jak i wszędzie między dziećmi od 1-5 roku; na tysiąc głów

---

*) A mianowicie: Ejragolski, Wilkijski, Wielોński, Rosieński, Widuklewski, Krożski, Tendziagolski, Jaswoiński, Szawelski, Wielki i Mało Dyrwiański, Berżański, Użwentski, Telszewski, Retowski, Pojurski, Wieszwiański, Korszewski, Szawdowski, Gondyngski, Twerski, Potumszewski, Birżyniański, Połongowski, Powondeński, Medyńgiański, Korklański, Żorański.

*) Dekanaty: Kowieński, Krokowski, Wieloński, Wiłkomierski, Upicki, Abelski, Nowo-Aleksandrowski, Poniewieżski, Junicki, Wekszniański, Szadowski, Olsiadzki, Szkudzki Worneński, Botowski, Retowski, Szydłowski, Jakobsztadzki i Kurlandzki.

**) A mianowicie: Dominikanie w Rosienach i Kalwaryi, Bernardynki w Kretyndze. Benedyktynki w Kownie i Krożach; Bernardynki przemieszkują w obu powyższych klasztorach i w klasztorze Katarzynek w Krakowie.

***) Po Kijowskiej i Podolskiej które mają po 48 na 1 wiorstę.

****) Ogólna liczba Litwinów, Żmudzinów i Łotyszów z r. 1867 podług spisów statystycznych ministeryjum wojny wynosiła 2,438,000. Z tych niewielka liczba Litwinów i Żmudzinów w Kurlandyi i Liflandyi, Łotyszów zaś w Kurlandyi 460,004 i w Liflandyi 392,059. A zatem w tych dwóch gubernijach, okrzyczanych jako niemieckie, szczepu litewskiego w Liflandyi $41,_{50}$% a w Kurlandyi $81,_{7}$%, gdy Niemców tylko w pierwszej 6% a w drugiej 7%, a resztę ludności stanowią Estowie.

---

z „Pocztylijona Lonjumeau,“ i sztuka ta wkrótce ukaże się na scenie, to bez wahania możesz wprzód czytelniku zwiedzić wszystkie pięć części świata lub przynajmniej Europę całą, a powróciwszy do domu, nie spóźnisz się z pewnością na pierwsze przedstawienie.

Za to nadobna jej siostrzyca — *dramatyczna muza nasza*, bujnem w ostatnich czasach zdobi się kwieciem. Często mniej lub więcej udatne (niekiedy prawdziwym nawet nacechowane talentem) płody jej ukazują się na scenie naszej i w piśmiennictwie. Oto i teraz kilku znanych autorów szykuje sporą ich wiązankę. Do większego jeszcze na tem polu ożywienia, przyczyni się niezadługo obiecany *konkurs warszawski*. Szanowny nestor dramaturgów naszych *Al. hr. Fredro* dał w tym względzie inicyjatywę, złożywszy początkowy fundusz w ilości rs. 300. Następnie z innych ofiar prywatnych spora już zebrała się na to sumka. Tworzy się już komitet, lecz ukryty nieco pod szatą tajemniczości. Ogłoszono nawet listę członków takowego. Przejrzawszy ją jednakże, mimowoli zawołaliśmy z zadziwieniem: „A gdzież tu imiona wielu zdolnych pisarzy, krytyków i znawców w szeregu pracowników pióra!“ Widzimy zaledwie kilku z ich grona a resztę stanowią artyści (po większej części zresztą prawdziwie kompetentni) i.... amatorzy sztuki.

Obawiamy się doprawdy, aby szan. Komitet nie zaprosił na członków całego grona artystów dramatycznych. A panowie ci mają niekiedy gust nie tyle wykwintny, ile oryginalny. Oto przed niedawnymi czasy w obec zgromadzonych służebników i służebnic Melpomeny przeczytano pewien utwór oryginalny następnie całe zgromadzenie jednogłośnie prawie uznało go za znakomity. Dano więc smaczny ten kąsek do spożycia publice naszej. Lecz, niestety, nie tylko ona, lecz i cała rzesza złośliwych Zoilów z dziwnym obskurantyzmem nie poznała się na tem cacku artystycznem. Arcydzieło to nosi nazwę — „Waza na stole.“

Nie ma więc Warszawa prawdziwych znawców i zdolnych krytyków. Ale ma za to znakomitych felijetonistów. Oto np. jeden z ich grona, stojący na straży spraw publicznych „U Ogniska“ zbiera skrzętnie okruszyny społecznego życia naszego. Skreśliwszy w powabny sposób chwile świąt ubiegłych i palnąwszy małe kazanko o trzeźwości, przyznaje się wreszcie ze skruchą, że pomimo chęci nie zdoła powiedzieć nic nowego.“ *Laudanda voluntas!*

Od spraw domowych przejdźmy na szerszą arenę życia publicznego. Przedewszystkiem *polityka!*

Sprawą która najbardziej interesuje prasę europejską są wizyty jakie składają *monarchowie pruski i austryjacki* królowi *włoskiemu*. I otóż nasi polityci obszernie debatują w tej sprawie i do różnych dochodzą wniosków.

Cesarz Austryjacki odbył podróż już do Wenecyi i z zapałem powitany został przez byłych poddanych swoich. Zentuzyjazmowany lud głośne wydawał okrzyki, skoro cesarz z królem ukazali się na balkonie. Różne są zdania polityków w kwestyi debatów monarszych. Jedni

umiera tu 350 dzieci. Najdłuższy wiek uważany jest 95 lat; przechodzących po za ten kres bardzo niewielu, są to wyjątki (na 10,000 głów mających wyżej 95 lat bywa tylko 9).

Pod względem geologicznym gubernija Kowieńska jest nader ciekawą. Wykryte zostały znaczne przestrzenie trzeciorzędnych pokładów, jak np. w większej części powiatu Rosieńskiego, zachodnia część Telszewskiego, południowo-Poniewieżskiego, prawie cała przestrzeń Kowieńskiego, znaczna część Wiłkomierskiego i południowo-zachodnia część Nowoaleksandrowskiego. Przy budowie kolei żelaznej Kowieńsko-Pruskiej, przekopując tunel inżynier Sobolewski zauważył trzeciorzędne pokłady w następującym porządku: naprzód idzie czerwonawa glinka na wysokości 3 sążni, póżniej szara glina, następnie żółty piasek, a pod nim dopiero biały piasek. Na znacznej głębokości znajdują ślady drzew niegdyś tu rosnących, a czasami pod korą tych drzew odwiecznych znajdują bursztyn, z których właśnie wypływał. Bursztynu i do dziś dnia wyrzuca morze Baltyckie w znacznej obfitości, szczególnie pod Połongą, niemało także znajdują w jeziorze Łukszcie pod Worniami w powiecie Telszewskim. O znakomitych skamieniałościach pod Popielanami pomówimy szerzej we właściwem miejscu.

Powierzchnia całego kraju niemoże się nazwać górzystą, wszakże są wzgórza, których wysokość sięga 180 metrów; ale te wzgórza, niemal każde noszą tradycyjne nazwy i związane z podaniami ludowemi. Tak np. sławna góra bogini *Biruty* (żony Kejstuta) nad brzegiem morza, Girniki — Małżynie — Kopaj, Żwirołojcie, Petrajcie, Powodońskie góry, Gęsia góra wreszcie nasypy ziemne w znacznej bardzo ilości, tak nazywane mogiły olbrzymów i t. d.

Obfitość tu wód niezmierna bo oprócz morza Baltyckiego które dziś już zostało na samem pograniczu, to i sławna Połonga, za czasów litewskich, przy Witoldzie szczególnie najznakomitszy port handlowy, teraz należy do gub. Kurlandzkiej, posiada przeszło 700 rzek i strumyków i przeszło 700 jezior. *).

Do najgłówniejszych rzek należy *Niemen*. Wypływa on z Ihumeńskiego powiatu, gubernii Mińskiej, płynie na przestrzeni 143 mil, czyli 1000 wiorst, gubernijami Mińską, Wileńską, Grodzieńską, a w Kowieńskiej płynie brzegiem królestwa polskiego, także do tej gubernii należy prawy brzeg jego, na przestrzeni 18½ mil (130 wiorst). Dalej płynie już w Prusach na przestrzeni 4½ mil i wpada do morza. W Prusach Niemen nazywają Memlem.

Największa szerokość Niemna w gub. Kowieńskiej dochodzi 200 metrów. Ma on swoje spady, czyli tak zwane *porohy*, których między Grodnem i Kownem liczą 50, mimo to rzeka ta jest spławną na przestrzeni 104 mil. Lód pokrywa tę rzekę 116 dni w roku, od końca listopada, lub początku grudnia, prawie do końca marca. Na wybrzeżach Niemna sławne są w ogóle owoce, a w niektórych miejscach rosną i winogrona. Żyto i przenica daje na tych wybrzeżach od 15 do 20 ziaren.

Wilija, o której pierwej mówiliśmy płynie w gub. Kowieńskiej tylko na przestrzeni 7 mil, i wpada do Niemna w Kownie.

Oprócz Niemna wpadają do Baltyku: *Wenta, Bartawa, Swienta, Minija, Okmiana*, i *Aa*. Do Niemna zaś wlewa się 16 rzek, z tych zaś ważniejsze jako spławne: *Niewiaża*, która przebiega 27 milową przestrzeń w gubernii i przyjmuje 27 dopływów mniejszych rzek; *Dubissa*, płynie od Szawl na przestrzeni 20 mil i ma 12 dopływów; *Mitawa* przepływa 13 mil i również przyjmuje 12 dopływów, i *Jura*, przerzyna powiaty Telszewski i Rosieński (od Retowa) na przestrzeni 18 mil i przyjmuje 16 dopływów innych rzek.

* Podług wyliczeń Wincentego Pola na przestrzeni Pojeziorza Baltyckiego między Wisłą a Niemnem leży 868 jezior; na przestrzeni zaś między Niemnem, Dźwiną i wierzchowiną Dniepru jest 1093 jezior.

Z innych rzek, znaczniejszych. *Minija* biegnie głównie po Telszewskim i Rosieńskim powiatach. Szerokość jej miejscami wynosi 60 metrów, a przytem jest nadzwyczaj głęboka. Przyjmuje do siebie 48 dopływów. Wylewy jej przynoszą wielkie zniszczenie.

Wenta, albo *Windawa* należy także do większych rzek, długość jej bowiem stanowi 43 mile, z tych w gub. Kowieńskiej mil 20, szerokość dochodzi do 120 metrów, przyjmuje 58 dopływów. d. c. n.

SPRAWY WYCHOWANIA

II.

Mycie i kąpanie dzieci.

Celem wychowania obok rozwoju władz umysłowych i moralnych, jest także prawidłowy rozwój sił fizycznych dziecka. Zaniedbanie tego ostatniego względu byłoby błędem ogromnym w obec prawdy, że w zdrowem tylko ciele, zdrowy duch przemieszkiwać może. Każdy ojciec, każda matka i w ogóle każdy kto ma z dziećmi do czynienia wie dobrze jaką jest męką nauczanie dzieci słabowitych, wątłych. Katar, kaszel, ból głowy, ból żołądka, i t. p. oto powody dla których co chwila przerywać trzeba zajęcia. Dziecko słabowite fizycznie bardzo się powoli rozwija umysłowo. W czasie bowiem choroby zapomina tego, czego się poprzednio nauczyło. Ciągłe wracanie do początków i powtarzań nuży je i zniechęca... Obok tego dziecko, słabe podczas choroby i w czasie rekonwalescencyi przywyka do kaprysów, upo rów nieposłuszeństwa i t. d.

Chorobv dzieci sprowadza najczęściej przeziębienie i ból żołądka — z tego też powodu, zajmiemy się w artykule niniejszym wskazaniem najpospolitszych powodów przeziębienia i środków jakieby przeciwko temu przedsiebrać zawczasu należało.

---

utrzymują, że głównym celem ich jest załatwienie kwestyi religijnych i utrwalenia pokoju w Europie, inni znowu sądzą, że zjazd w Wenecyi jest pierwszą próbą utworzenia koalicyi państw europejskich przeciwko Niemcom i t. d. Słowem tysiączne są domniemania, a trudno niestety odkryć prawdę, kryjącą się w głębi duszy władców świata.

Książe-kanclerz urządził zwolennikom i nieprzyjaciołom swoim małe *„prima Aprilis“* kiedy bowiem przez pewien czas słabość nie dozwalała mu występować na arenie działalności politycznej, mówiono powszechnie, że książe usunie się od steru rządu. Tymczasem w dniu urodzin swoich (1 kwietnia) *Bismarck* ukazał się nagle zdziwionym oczom synów Vaterlandu. Huczne też i serdeczne było powitanie. Ze wszystkich zakątków Germanii przesłano mnóstwo powinszowań i mandatów zaufania wielkiemu mężowi politycznemu. Słowem Bismarck stanął już u szczytu wielkości, ma bowiem za sobą całą ziemię niemiecką. Naród ufa mu bezwzględnie i gotów zrobić wszystko, co mu nakaże.

A i książe kocha rownież kraj cały. Ma przytem wspaniałe prawdziwie pojęcie o wielkości Prus i utrzymuje że „nie można mieć zaszczytu zostania Prusakiem bez otworzenia swojej sakiewki,“ a niegdyś głosząc innym prowincyjom niemieckim zbawienne skutki połączenia się z Prusami, mówił: „Panowie, Prusy są, jak flanela, która jest wprawdzie szorstka za dotknięciem, lecz gdy ją się nosi długo na ciele staje się ciepłą i zdrową.“

W Hiszpanii spodziewają się pokoju. Spora liczba oficerów armii przeszła na stronę *Don Alfonsa*. Nuncyjusz papiezki przywiózł z Rzymu instrukcyje dla biskupów i duchowieństwa tamtejszego, aby przyczyniało się do przygotowania pokoju i ustalenia rządów Don Alfonsa. Słowem sprawa Don Karlosa stoi licho, bardzo. Cabrera działa energicznie.

Tymczasem po za granicą świata europejskiego krwawe odgrywają się dramata. Oto czytamy w Wieku: *„W Buenos Ayres“* stolicy konfederacyi argentyńskiej, nastąpiła w tamtejszem seminaryjum jezuickiem ogromna tragedyja, jakiej w ciągu ostatnich 15 lat nie widziano. Tłumy motłochu 10—30.000 głów liczące, napadły na ten gmach i zapaliły go za pomocą oleju skalnego. Jednego księdza przytem zabito, kilku raniono. Następnie motłoch zrabował pałac arcybiskupa. Rząd wysłał wojska dla obrony gmachów rządowych i klasztorów. Aresztowano pewną liczbę osób. Ze względu zaś na krytyczne położenie rzeczy, ogłosił rząd miasto i prowincyją w stanie oblężenia na dni 30. Przywódzcy rozruchów mają być do surowej pociągnieni odpowiedzialności.“

Na Kubie powstanie szybko się rozwija. Niektórzy politycy Warszawscy składają winę jego na Stany Zjednoczone, zkąd powstańcy czerpać mają zasoby w ludziach, broni i pieniądzach. Ciekawi jesteśmy, czy oszkalowana w ten sposób przez prasę naszą rzeczpospolita, będzie reklamowała o krzywdę swoją.

Przeziębienie powoduje zetknięcie się silnie podrażnionej t. j. silnie np. rozgrzanej skóry naszej z temperaturą oziębioną. Usuńmy jeden z tych wypadków a usuniemy przeziębienie samo. Ponieważ zimna usunąć jest nie podobna, powinniśmy starać się o usunięcie wrażliwości skóry na zimno t. j. o nierozpieszczenie jej że tak powiem, przez zbyt ciepłą odzież, przebywanie w zbyt ciepło ogrzanych mieszkaniach umywanie się w wodzie gorącej i t. p.

Ludziom dojrzałym nawykłym do czego innego trudno na starość odmieniać tryb życia, ale dzieci zaraz od urodzenia powinniśmy przyzwyczajać do borykania się z wpływami powietrza, t. j. powinniśmy postępować z niemi zupełnie inaczej, niż się to obecnie praktykuje. Najlepiej byłoby zdaniem naszem brać się do tego w sposób następujący.

Po urodzeniu, niemowlę do *tygodni sześciu*, powinno być w ciepłej wodzie kąpane — dla tego że do szóstego tygodnia malec za pomocą organów czucia przyjmuje tylko wrażenia zewnętrzne ale wrażeń tych nie rozeznaje. Nie rozróżnia np. światła chociaż je widzi nie odczuwa dźwięku chociaż go słyszy. Po tygodniach sześciu, niemowlę zaczyna zdradzać te pojęcia uśmiechając się np. na widok jasnego płomienia lub zwracając się w stronę której dźwięk odleciał. Wtedy mniej też sypia chętniej przebywa czas jakiś w pościeli, przypatruje się i słucha. Czas do sześciu tygodni schodzi tymczasem na samem prawie spaniu, dziecię przebudza się na bardzo krótko tak że kąpiel, przemycie, powinno odbywać się nadzwyczaj szybko aby mu nie przerywać. Najlepiej by było w takim razie zanurzyć dziecię w wodzie na kilka minut, wyjąć je i wytrzeć starannie. Obecnie mniej więcej zwykle się też w podobny sposób postępuje. W zimnej wodzie nie można malca kąpać, więc się też używa ciepłej. Wypada tylko zalecić matkom, aby wody do kąpieli nie używały tak sobie na chybił trafił, ale aby stopniowo temperaturę jej obniżały, w ten sposób, iżby woda w której kąpią sześciotygodniowego malca, była chłodniejszą od wody jakiej w pierwszych dniach po urodzeniu używały. Po tygodniach sześciu niemowlę więcej czuwa aniżeli śpi. Chwilę w której jest najrzeźwiejsze bo się najadło i wyspało trzeba umieć teraz uchwycić na czas kąpieli. Ale kąpiel obecnie nie przez zanurzanie w wodzie odbywać się powinna. Najlepiej jest myć dziecko za pomocą gąbki namoczonej w wodzie, na co więcej już znacznie potrzeba czasu.

Woda powinna mieć taki stopień ciepła jak ta której bezpośrednio przedtem używano, to jest powinna być tak ciepłą jak dajmy na to woda z samowara w dwie godziny po zakipieniu. Gąbkę namoczoną należy nieco wyżąć i pocierać każdą część ciałka oddzielnie, wycierając ją zaraz po tem płócienną pieluszką. Przemyć jednę nóżkę gąbką i zaraz obetrzeć ją pieluszką, potem drugą nóżkę w ten sam sposób i t. d.

Zaziębienie nigdy nie może nastąpić w czasie umywania, bo każda część ciałka bardzo krótko jest zmaczaną i ogrzewa się zaraz od pocierania suchem płótnem. Dla pewności jednakowoż najlepiej zacząć od umywania nóżek bez zdejmowania koszulki, a dopiero potem zdjąć koszulkę obmyć piersi i brzuszek jako organy najczulsze, a następnie ubrać zaraz nanowo, dziecinkę. Jeżeli postępowanie podobne zmęczyło dziecię i zaczyna się krzywić, można je rozerwać śpiewem, rozmową, starać się jednak uwinąć ze wszystkiem tak szybko aby do płaczu nie przyszło Najlepiej aby celu tego dopiąć, mieć odpowiednie ubranko pod ręką i czasu na szukanie nie tracić, a to wydarza się przecie. Kąpiel w ciepłej wanience należy pierwotnie dwa razy, a następnie raz tylko na tydzień urządzać, żeby zmywać strupki z głowy, nie tak łatwo przy użyciu chłodnej wody ustępujące.

Temperaturę wody używanej do obmywania należy również stopniowo obniżać tak iżby po tygodniach znowu sześciu czyli w czwartem miesiącu życia, można już było umywać dziecię chłodną byle nie zimną znów wodą. W takim tylko razie tj. przy użyciu wody chłodnej, należy ciałko mocniej pieluszką płócienną wycierać, aby działalność skóry pobudzić.

Skoro dziecię nie napiera się już gwałtownie do kolebki, ale posiedzieć lubi, można je posadzić na stole, ale umywać w ten sam sposób jak wskazano powyżej, kiedy zaś malec i dosiedzieć już nie chce, ale się na nóżki wspina, można go stawiać w wanience i wolniutko polewać chłodną wodą. W ten sposób i w chłodnej wodzie można już stale odbywać odtąd kąpiele. Należy zawsze tylko mieć na uwadze, aby czas na kąpiel, czy umywanie odpowiednio był wybranym, a najlepiej załatwiać to rano gdy dziecku nie chce się ani jeść, ani spać. A warunek ten bacznie by powinien być spełnianym, jeżeli bowiem dziecko raz jeden z jakiegokolwiek powodu zniechęciło się do kąpieli, trudno w niem potem wstręt ten przełamać, a przerywać kąpieli niewarto. Mycie codzienne potrzebne jest tak dobrze dla utrzymania czystości jak i dla wzmocnienia skóry — Skóra od wody chłodnej nabiera sprężystość i połysku, gdy tymczasem ciepła woda czyni ją słabą i bezbarwą. Dziecię myte wodą chłodną staje się rzeźkiem, wesołem i świeżem i nie łatwo skłonnem do przeziębień. Piszący te słowa spostrzeżenia swoje i rady na długiem i sumiennem doświadczeniu opiera.

MŁODOŚĆ ATEŃCZYKA.

PRZEKŁAD

B. B.

Młodość Ateńczyka, jak każdego człowieka żyjącego wśród ukształconego społeczeństwa, czy to w świecie starożytnym, czy w nowożytnym, schodziła na zabawach i nauce.

Nauka wszakże i wychowanie człowieka nawet w naszych czasach, gdy jest nierównie rozleglejsze i dłużej trwające, zależy nie tyle od szkoły ile od życia samego i warunków najbliższego otoczenia.

Owe warunki najbliższego otoczenia miały jeszcze większy wpływ na Ateńczyka. Wykształcenie, jak i wszystko w Grecyi, było proste i naturalne. Ateńczyk nie tyle uczył się z książek, gdyż tych w użyciu było nie wiele, a chęć do czytania była bardzo ograniczoną, ile z żywej rozmowy. Za jej pomocą obznajmiał się on z podaniami starożytnemi i prawidłami postępowania w życiu.

Wychowanie Ateńczyka nie było ograniczone żadnemi teoryjami, gdyż teoryje wychowawcze zaczęły pojawiać się wtedy dopiero, kiedy życie prawdziwie greckie obumierać zaczęło. Z tych, jak i wielu innych rzeczy okazuje się jawnie, iż otoczenie — rodzina, społeczeństwo musiały nań nierównie większy wpływ wywierać, aniżeli nauka w szkole. Dla tego też zanim przystąpię do przedmiotu niniejszego artykułu, wskażę w krótkości na czem polegały elementy twórcze greckiego, a osobliwie ateńskiego życia. Później zajmę się opisem zajęć Ateńczyka od dnia urodzenia aż do wieku dojrzałego.

Przedewszystkiem więc pomówię o pierwiastkach twórczych samego życia Greków. Tu należą przysłowia, oddzielne maksymy i zdania rozwijające praktyczny zmysł Greka; dalej poezyja i pomniki sztuki, które rozwijały silne w nim już z natury uczucie piękna.

Oddzielne zdania często brane bywały z utworów poetycznych Hezyjoda, Teognisa i Eurypidesa. Wiele zdań i maksym oddzielnych powstało bardzo wcześnie i przypisywane były znakomitym osobistościom, jak np. siedmiu mędrcom. O ważności przysłowiów tak mówi Arystoteles: „są tu resztki starożytnej filozofii, zaginionej w niszczących przewrotach czasu, resztki ocalałe z powodu swojej krótkości i ulotności.“ Zresztą, ważność przysłów daleko wcześniej była zrozumianą aniżeli dopiero za czasów Arystotelesa.

Od czasów Pizystrata przysłowia i inne wyrażenia pisane były dla nauki ludu na hermach, to jest statuach stawianych na cześć bożka Merkurego. Prócz tego w życiu potocznem Greków bardzo zwyczajne były baśnie zwłaszcza Ezopa. Bardziej jeszcze ożywczym był wpływ poezyi i sztuki. Zastanówmy się nad nim cokolwiek w stosunku do poezyi ludowej.

W wykształceniu początkowem i ogólnem dla wszystkich obywateli, zarówno bogatych jak i biednych, wpływ poezyi naturalnym rzeczy porządkiem musiał być rozleglejszy, aniżeli poezyi artystycznej, która nawet w Grecyi nie dla wszystkich była w jednakiej mierze dostępną.

U tak poetycznego narodu jak Grecy, poezyja ludowa koniecznie musiała być bogatą. I w rzeczy samej wiemy, iż nie tylko miasta i kraje, ale nawet każde rzemiosło, każdy wiek, każde święto, każde wesołe czy też smutne zdarzenie miały swoje pieśni. Pieśń towarzyszyła Grekowi od kolebki do grobu. Rozumie się samo przez się, że większa część tych pieśni pozbawioną była artystycznego obrobienia; dla tego mało je ceniono. I to jest przyczyną, dla której do nas doszły tylko rozmaite nazwy rodzajów, poezyi ludowej starożytnych Greków i kilka zaledwie z niej urywków. Zestawiając w celu porównania te urywki z pieśniami dzisiejszych, nowożytnych Greków, należy przyznać iż w tych ostatnich zo-

stało się bardzo wiele z charakteru pieśni starożytnych. *) Jeden tylko rodzaj pieśni potocznych mianowicie skolije czyli pieśni biesiadne wyniosły się do znaczenia poezyi artystycznej.

Skolije improwizowali Grecy przy uczcie, a właściwie mówiąc po uczcie, podczas picia wina, co zawsze miało miejsce dopiero po skończonej biesiadzie. Zwykle wszakże podobne pieśni biesiadne zawierały improwizacyje sławnych poetów attyckich a niekiedy i obcych. Były to proste myśli i uczucia, przeważnie treści potocznej i patryjotycznej.

Co się tycze poezyi i jej wpływu na człowieka, to powiedzieć należy, że poezyja wyosobniała się, wydzielała i przekształcała zarazem, stosownie do narodowości tego lub owego z państw greckich, a narodowość Greków była wielce rozmaitą. Nadto w niektórych państwach Grecyi rozwój poezyi był bardzo mały; nierównie rozleglejszy i powszechniejszy był wpływ innych sztuk to jest plastycznych. Wszystkie plemiona Grecyi, nawet te, które nie tyle były wrażliwe na piękności utworów poetycznych, w równym stopniu zachwycały się utworami sztuk plastycznych i architektury, z tąż samą co i inne miłością i zdolnością. Dopóki plemienia Grecyi nie dosięgły ostatecznego rozwoju i dlatego mało miały z sobą styczności, dopóty artyści pojedynczych plemion pracowali oddzielnie nie wiedząc nic o pracach innych artystów i dla tego też mało było między nimi cech wspólnych.

Później wszakże w miarę rozwijania się plemion greckich, z różnych stron Grecyi schodzili się artyści w miejscowościach bardziej sławnych rozwojem sztuk pięknych.

To nadało plastyce i architekturze ogólniejsze i bardziej dostępne dla wszystkich Greków znaczenie, i dla tego i wpływ sztuk plastycznych był ogólniejszy, aniżeli poezyi. Sztuki piękne plastyczne, których rozwój trwał najdłużej, bo do drugiego wieku po Chrystusie, silniej aniżeli poezyja łączyły się z religiją, znaczenie ich miało doniosłość publiczną, gdyż posągów Grecy nigdy prawie nie umieszczali w domach prywatnych, ale owszem każdy mógł zachwycać się tym, co tylko sztuki plastyczne stworzyły wielkiego i pięknego.

Wskutek tego sztuki plastyczne były najbardziej narodowym, ogólnym środkiem rozwinięcia w Grekach nietylko estetycznego, ale i moralnego poczucia i dla tego dają one jak najdokładniejsze pojęcie o poglądach tego narodu. Codzienny i wszystkim dozwolony przystęp do utworów sztuki plastycznej: posągów, budowli, obrazów, musiał naturalnie bardziej aniżeli cokolwiek innego, rozwinąć w Greku poczucie piękna.

Na każdym kroku widział on, lub przypominał sobie widziane niegdyś wzorowe utwory sztuki. Widział je w miejscach publicznych, gdzie w ciągu sześciu wieków kwitnącego stanu sztuki greckiej, nagromadziło się ich bardzo wiele; przypominał je sobie na medalach, naczyniach, nawet na sprzętach domowych, które po większej części upiększane bywały kopijami znakomitych utworów. Surowy charakter sztuki plastycznej i ogólny rozwój tejże, dawały Grekowi równomierny prawdziwy pogląd, strzegły go od kaprysów gustu i przyuczały dopatrywać się wzniosłości w najzwyczajniejszych przedmiotach. To też moralny wpływ sztuk plastycznych na Greka, nie ulega żadnej wątpliwości. Na szczególną uwagę pod tym względem zasługuje kolosalnych rozmiarów posąg Jowisza, utwór znakomitego Fidyjasza, Ateńczyka współczesnego Peryklesowi i przyjaciela tegoż. Posąg ten znajdujący się w świątyni olimpijskiej w Elidzie zdumiewał wspaniałością i prostotą zarazem. Jowisz Fidyjusza występuje jako bóg wielce potężny, i zarazem pełen miłosierdzia, wysłuchujący modlitw ludzi i bogów. Pewien pisarz grecki utrzymuje, iż nie widzieć tego posągu jest wielkiem nieszczęściem, a inny twierdzi że do czasu ukazania się posągu Fidyjaszowego ludzie nie mieli prawdziwego pojęcia o bóstwie. Trzeci dodaje że wpatrywanie się weń koiło troski.

Te wszystkie środki ogólne wykształcenia Greka lepiej aniżeli wszelkie szkolne nauki ćwiczyły władze duszy, rozwijały uczucie taktu, uszlachetniały życie powszednie. To też Grek zadowolony z siebie samego, nosząc w swej duszy pokój i zgodę z sobą samym, i otaczającą go naturą, przez długi czas nie potrzebował różnorodnych podniecających środków, jakimi zwykle pragnie ożywić się człowiek pozostający w niezgodzie z sobą samym i z otaczającym go światem. Temu to zadowoleniu zawdzięczali Grecy to, iż w ogóle nie byli marnotrawni, że wszyscy, a osobliwie Ateńczycy byli umiarkowani w jadle, napoju i innych uciechach fizycznej natury człowieka.

Z kolei rzeczy wypada nam teraz zająć się właściwym przedmiotem niniejszego artykułu.

W Grecyi po przyjściu na świat chłopca, wieszali na drzwiach domu wieniec oliwny, jeśli zaś urodziła się córka — wieniec uwity z szerści.

Nowo narodzone dziecię zaraz po pierwszej kąpieli powijano w pieluszki. Piątego dnia po urodzeniu obchodzono uroczyście tak nazwane amfidremije co odpowiadało naszemu obrzędowi chrztu. W dniu tym kobieta która była pomocną przy urodzeniu dziecka lub inna jaka niewiasta, biegała z dzieckiem w koło domowego ogniska. Oprócz tego drzwi domu obwieszane bywały wieńcami; oczyszczano się za pomocą ofiar i urządzano ucztę na której główne danie stanowiła kapusta smażona w maśle. Ojcu służyło prawo wyrzec się dziecka. Barbarzyński ten zwyczaj, którego my nie tylko pojąć nie możemy, ale nie możemy znaleść odpowiedniej nazwy dla niego, był jednak objęty prawem i ograniczony przez nie. Tylko Teby stanowiły pod tym względem wyjątek; w Tebach pod karą śmierci wzbronione było wyrzekanie się i porzucanie dzieci, a dzieci całkiem biednych rodziców wychowywano kosztem państwa. Co na szczególną zasługuje uwagę, to to iż nawet największe umysły Grecyi, jak Platon i Arystoteles nie potępiają tego zwyczaju. Arystoteles zresztą zamiast wyrzekania się dzieci przez ojca, zaleca porzucanie ich. Najczęściej wyrzekano się córek. Te ostatnie nawet w dojrzałym wieku przedawano a niekiedy i zabijano. Kupowano synów zwłaszcza, kobiety zaś z majątkiem, jeśli kupujący sami nie mieli dzieci.

Kupno takie często odbywało się bez wiedzy mężów, którzy w razie gdy małżonkowie nie mieli dzieci, mogli prawnie żądać rozwodu.

Dzień dziesiąty po urodzeniu był najważniejszy. W dniu tym, który możnaby nazwać imieninami, zbierali się krewni, urządzano ucztę, składano ofiary bogom i obdarzano podarkami dziecię i matkę. Nietylko krewni ale i niewolnicy składali podarki, zwykle ciasta i ryby różnorodnych gatunków, które w czasach historycznych stanowiły ulubioną potrawę Greków.

Oprócz potraw dziecku dawali zabawki, a matce wzorzyste naczynia. Obchód uroczysty dnia dziesiątego miał ważne znaczenie i w obec sądu: wykazać że dzień dziesiąty był obchodzony, znaczyło to dowieść że ojciec uznał kogoś za syna prawego. Tegoż dnia, choć niekiedy już w piątym dniu, dawano dziecku imię. Rzecz to była wielkiej wagi. Imię dawał ojciec, niekiedy zaś matka. Niekiedy dawali imię wzięte od jakiegoś bóstwa, lub od jego przymiotu, w tej myśli że bóg którego imieniem nazwano dziecię, będzie opiekunem jego na całe życie. Zwykle wszakże dawano nowonarodzonemu dziecięciu, zwłaszcza jeśli to był syn pierworodny imię dziadka. Niekiedy znowu syn dostawał imię ojca z małem przekształceniem tegoż, lub też wprost bez żadnej zmiany.

d. c. n.

*) Chants populaires de la Grèce moderne. Par C. Fauriel II tomes. 1824—25.

ZA WOJENNYM ŚLADEM

POWIEŚĆ

ZE STEPÓW AMERYKAŃSKICH

KAPITANA MEYNE REID'A

PRZEKŁAD Z ANGIELSKIEGO

Leokadyi P....

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ XL.

Szpieg.

Była północ. Błyskawice znacznie rzadsze od pewnego czasu, ustały teraz zupełnie. Migotliwe ich światło zastąpiło blade oblicze wschodzącego księżyca. Ołowiane chmury przesuwały się jeszcze zwolna po niebieskim sklepieniu ale tu i tam przebijało już z po za nich szafirowe tło błękitu. Księżyc zyskiwał na tem, jego złociste promienie zdawały się posrebrzać powierzchnię łąki tak iż trawa, biała się wydawała zupełnie.

Mgły nie było żadnej bo deszcz oczyścił powietrze i zrobił je przezroczystem, chociaż więc nie była to pełnia było jasno tak, iż dało się dokładnie rozróżniać najbardziej oddalone przedmioty. Chmury tylko, od czasu do czasu

przesuwające się jeszcze po błękicie, chwilowo zaciemniały horyzont.

Aż dotąd ja z Billem znajdowaliśmy się po nad szczeliną po której dostaliśmy się na górę. Księżyc oświecał nas z tyłu, bo gerylasy obozowali na zachód od mesa. Cień skały zachodził na step daleko, a tuż po za nim, szarzały znowu cienie gęsto poustawianych szyldwachów.

Klęcząc w zaroślach nie byliśmy dla nich widzialni, ale sami obserwowaliśmy ich doskonale, słyszeliśmy ich rozmowy i śpiewy.

Garej teraz zostawił mnie samego na chwilę, a sam poszedł na stronę przeciwną sprobować czy nie pochwyci tam jakiego języka.

Wioska położoną była w tamtej właśnie stronie a jeżeli pikiety gerylasów zachowają ciągle obecne swoje stanowiska, możemy się spodziewać dość prędkiej pomocy. Moim szeregowcom nie potrzeba mówić dwa razy aby mi przyszli z pomocą, a prowadzeni przez Ruba przybyliby zapewne z tyłu mesa. Dla tego to Garej poszedł zajrzeć w tamtę stronę.

W chwilę potem jak mnie Garej opuścił, jakiś przedmiot ciemny, rysujący się na łące, zwrócił moję uwagę. Zdawało mi się że to forma ludzka leżąca na brzuchu i przyciśnięta do ziemi, tak samo jak Rube w chwili kiedy się ukrywał.

Nie był to on z pewnością, ale co to było nie mogłem się dowiedzieć o tem żadną miarą, bo to co mnie tak zaciekawiało znajdowało się o jakie sześćset kroków od mesa i wyraźnie po za liniją gerylasów.

W tej chwili zresztą chmura zasłoniła mi go zupełnie, musiałem więc czekać aby się rozjaśniło.

Gdy się to stało zauważyłem że dziwna owa postać nie była już na tem co poprzednio miejscu, ale owszem że była daleko bliżej obozu gerylasów, a zawsze w tej samej pozycyi co przedtem.

Była ona obecnie nie dalej jak o dwieście kroków od ich linij, ale wysoka trawa stepowa osłaniała ją widocznie bo nie poruszył się ani jeden z szyldwachów.

Z wyniosłej pozycyi jaką zajmowałem, trawa mi nie przeszkadzała — to też widmo jakie zauważyłem, było dla mnie wyraźnie korpusem człowieka, i w dodatku człowieka zupełnie nagiego, bo tak błyszczeć przy świetle księżyca może tylko ciało nagie.

Czyżby to był Rube, pomyślałem sobie, a przypuszczenie to nie wielką sprawiło mi przyjemność. Powrót starego w podobnym sposobie nie bardzo był obiecującym.

Nie to nie podobna. Sam nigdy nie powróci przecie, a zanadto zna dobrze pozycyję nieprzyjaciela iżby miał potrzebę w ten sposób je studyjować jeszcze.

Zaczęło mnie to coś, jednakże niepokoić co raz więcej.

Skoro się widniej zrobiło dostrzegłem że skóra owa była dosyć ciemną, można było jednakże to samo i o skórze Ruba powiedzieć, chociaż się bowiem białym narodził, pod wpływem słońca, prochu, tłustości, a rzekłszy prawdę pod wpływem brudu bo się czystością nigdy nie zalecał, zrobił się prawie miedzianym tak, że mało się bardzo różnił na oko od czystej krwi Indyjanina. Tylko znowu poczciwy traper nie spacerowałby w takim negliżu—on co nigdy nie zdejmował z siebie swojej skórki z daniela — a nadto ciało jego nie smarowane tłuszczami nie mogło tak błyszczeć przy świetle.

Nowa chmura pogrążyła znowu wszystko w ciemności i nie widziałem już zupełnie tajemniczej postaci, ale kiedy księżyc zabłysnął, z powrotem, spostrzegłem iż oddalała się ona pospiesznie.

Śledziłem jej ruchy z wytężeniem i... aż zadrżałem z radości gdym ujrzał nie jednę już ale kilka postaci zarysowanych niewyraźnie na drugim końcu stepu.

To Rube i moi szeregowcy...

Wytężyłem wzrok z całej siły, i poznałem że to byli kawalerzyści, ale zamiast postępować w szeregu, suwali się pojedyńczo jeden za drugim, a ich wyciągnięta linija odbijała się na niebie niby ogniwa ogromnego łańcucha.

Zaniepokoiłem się ogromnie. Szeregowcy nie maszerowali nigdy w ten sposób chyba na wązkiem przejściu albo w jakiej leśnej drożynie.

Nie raz w ciągu burzliwego żywota byłem świadkiem widoku jaki obecnie miałem przed oczami, nieraz przypatrywałem mu się z obawą. Ta ściśnięta kolumna była dla mnie starą znajomością, była to taktyka Indyjan idących do boju.

Ów człowiek tajemniczy to był goniec indyjski. Korpus armii do której należał miał zamiar zbliżyć się do mesa i może rozłożyć się przy niej obozem. Wysłano go na obejrzenie miejscowości.

Jakie wrażenie wywrze jego raport nie mogłem przewidzieć, spostrzegłem tylko że jeźdźcy zatrzymali się, zapewne nań oczekując. Byli zanadto oddaleni aby dostrzegli Meksykanów a po chwili ciemność i przed mojemi zasłoniła je oczyma.

Zanim oznajmiłem Garejowi o swojem odkryciu, postanowiłem zaczekać na nowy peryjod światła, ażeby samemu lepiej się zoryjentować.

ROZDZIAŁ XLI.

Stadniny.

Upłynął dobrze kwadrans zanim się rozeszły chmury i w tedy ujrzałem na stepie stado koni o jakie pół mili od nas oddalone.

Na tych koniach nie było jeźdźców, chodziły sobie zupełnie swobodnie, było to więc widocznie dzikie zupełnie stado.

Wpatrywałem się jeszcze uważnie czy w oddaleniu gdzie jakich jeźdźców nie obaczę, ale nic zgoła nie dostrzegłem.

Zbierałem się na odszukanie towarzysza i zakomunikowanie mu rezultatu moich spostrzeżeń, skoro jednak powstałem na nogi zobaczyłem go obok siebie. Obszedł do koła górę — a nic nie zobaczywszy powrócił do mnie aby się dowiedzieć czy gerylasy są ciągle na swoich miejscach.

Wybornie zawołał, kiedy oczy jego padły na stadninę, cóż to jest do dyjabła... gromada dzikich koni... A te dyjabły murzyny nie spostrzegli ich dotąd. Na ogon Belzebuba! ja...

Nie wiem co Bill chciał powiedzieć, bo słowa jego zginęły w okropnym ryku jaki wybuchnął jednocześnie na całej długości linii Meksykańskiej, i zobaczyliśmy jak w jednej chwili cała ich gromada skoczyła na siodła i zaczęła się gwałtownie poruszać.

Przypuszczaliśmy naturalnie że hałastra musiała zauważyć dzikie konie i że to w ich szeregach ten nagły popłoch spowodowało.

Ale jakież było nasze zdziwienie gdyśmy zrozumieli że my to sami byliśmy przyczyną alarmu, bo gerylasy zamiast wrócić się ku stepom podstąpili pod ścianę góry i dali ognia z karabinów w pośród wściekłych jakichś okrzyków.

Odróżniliśmy przy tej sposobności strzał z rusznicy El-Zorra, świst jego kuli, która nam przeszła mimo uszów.

Jakim u licha odkryli nas sposobem?..

Księżyc to wypłatał nam figla — wzbił się wyżej nieco—i przestrzeń obok góry, dotąd osłoniętą cieniem oświecił.

Patrząc w stronę stada koni zrobiliśmy głupstwo żeśmy powstawali i teraz nasze własne cienie powiększone ogromnie, rysowały się na stepie tuż pod oczami naszych nieprzyjaciół.

Dość im było spojrzeć w górę aby nas zobaczyć.

Rzuciliśmy się na kolana i ukryli w zarośla ściskając w zaciśnionych dłoniach karabiny.

Zdziwienie jakiego doświadczyli ujrzawszy nas tak niespodziewanie dodało im jakby otuchy jakiejś, bo kilku śmiało się do nas na odległość strzału zbliżało. Byli to zapewne ci co z ostatnim transportem przybyli. W pośród ciemności nie mogliśmy ich rozpoznać ale jeden z nich na nieszczęście siedział na białym koniu więc go łatwo było wziąść na cel.

Skorzystał z tego Garej, wymierzył, strzał wypadł a jak mi się wydało przynajmniej głuchy jęk jakiś doleciał mnie zaraz z dołu. Nie omyliłem się bom po chwili zobaczył jak koń zmykał galopem sam jeden już tylko.

Nowa chmura zaszła na księżyc i raz jeszcze step nam zasłoniła.

Bill nabijał broń powtórnie gdy rozległ się krzyk nowy który go zmusił do zawieszenia czynności a nadstawienia ucha. Krzyk się powtórzył i odtąd dawał się słyszeć ciągle z tą dziką intonacyją która się też mogła jedynie z gardła dzikiego dobywać. To już nie gerylasy wydawali te okrzyki, to było wycie wojownika indyjskiego.

Okrzyk wojenny Komanszów zawołał po chwilowem wsłuchiwaniu się Garej.

Okrzyk wojenny Komanszów — a toż hura na Boga żywego...

Mają szelmy indyjan na karku...

W pośród wrzasków doleciały nas znowu odgłosy kopyt rozlegających się po stepie.

Co sekunda odgłosy te ku nam się zbliżały, dzicy strzelali do gerylasów...!

Księżyc wyszedł z po za chmur, teraz zobaczyliśmy wszystko jak należy.

Na dzikich koniach byli jeźdzcy, byli indyjanie, nadzy do samego pasa, a czerwono jaskrawy kolor na jaki byli pomalowani, błyszczał rażąco przy księżycowem świetle. Był to istotnie krwawy widok.

Meksykanie wskoczyli na konie aby stawić czoło nieprzyjacielowi którego nie spodziewali się wcale, ale widocznie nie wiedzieli co począć.

Nie wytrzymają szelmy tej szarży niespodzianej, nie, nie wytrzymają rzekł Garej.

I miał racyją w istocie.

Dzicy zbliżyli się na sto kroków od linii Meksykańskiej i nagle się zatrzymali.

Był to przystanek chwilowy, było to tylko rozpoznanie porządku wojennego nieprzyjaciela przed posłaniem mu chmary strzał. Jakoż z dzikiemi okrzykami puścili się znowu na przód.

Gerylasy nie czekali i dali ognia ze swej strony, ale nie myśleli jakoś o powtórnem nabijaniu.

Większość rzuciła broń na ziemię po jednym wystrzeleniu i odwrót się rozpoczął. Cała armija meksykańska pierzchała teraz w najogromniejszym popłochu, a pierzchała w stronę mesa.

Indyjanie pędzili za nią co koń wyskoczy, wyjąc przytem dziko i strasznie.

Gerylasy nam teraz winni będą jeżeli im się uda ocalić, my bo zmusiliśmy ich do trzymania się w pogotowiu — inaczej Indyjanie byli by ich wystrzelali jak kaczki gdyby sobie siedzieli spokojnie na stepie.

Chcąc nas dosięgnąć wzięli się byli do koni a to dało im możność ucieczki.

Kiedyśmy zobaczyli kierunek w jakim rejterowano, przelecieliśmy z Garejem na tamten szczyt góry ażeby się na to popatrzeć.

Dobiegłszy do brzegu przepaści znaleźliśmy doskonałe miejsce do obserwacyi i zobaczyliśmy niezadługo jak ścigani i ścigający przemknęli u stóp pagórka pod nami.

Pędzili co sił starczyło...

Indyjanie wrzeszczeli ciągle, Meksykanie zmykali w milczeniu, z zapartym oddechem, z głosem zamarłym z przerażenia.

Nagle pomiędzy gerylasami rozdarł się krzyk rozpaczny — krótki, nagły, krzyk zwiastujący nową jakąś przyczynę przerażenia.

I w tej że chwili cały oddział stanął na miejscu jak wryty.

Szukaliśmy przyczyny tego szczególniejszego wydarzenia i dopatrzyliśmy jej dosyć łatwo.

W stronie naszej o trzysta od nas kroków odległości ukazał się oddział kawalerzystów pędzący nam z pomocą.

Bronie ich błyszczały przy świetle księżyca — słyszeliśmy z resztą ich okrzyki.

— Hurra! to szeregowcy, zawołał Garej — odkrzykując im z całej siły.

Gerylasy zgłupieli — potracili głowy na widok tego nowego zastępu, zatrzymali się na chwilę myśląc zapewne że mają na karku nową bandę Indyjan.

Ale nie trwało to długo, niepewne światło księżyca pomogło im, a ponieważ karabiny rozpoczęły już swoję muzykę rzucili się na lewo...

Zobaczywszy to Indyjanie chcieli im zastąpić z boku i przeciąć drogę, ale szeregowcy właśnie wykonali ten sam manewr od strony prawej tak że teraz dzieci pustyni i amerykanie lecieli w linii ukośnej na spotkanie się z sobą.

Księżyc zupełnie zaszedł za chmurę i ciemności zaległy do koła.

Nie widzieliśmy już nic, słyszeliśmy tylko natarcie na siebie dwu band, okropne wycie indyjan, okrzyki zemsty szeregowców, huk karabinowych strzałów, gorączkowe grzmoty rewolwerów, szczęk pałaszy, trzask łamiących się drzewiec, rżenie koni i głębokie jęki ofiar nieszczęśliwych.

Z sercem ściśnionem wzruszeni, niepewni, staliśmy na górze przysłuchując się temu krwawemu dramatowi.

Walka nie trwała długo bo kiedy księżyc pokazał się znowu, cicho już było na stepie, zasłanym trupami ludzi i koni...

Z daleka w południowej stronie zobaczyliśmy gromadkę jakąś niknącą na skraju stepu, byli to gerylasy, na zachód indyjscy kawalerzyści pierzchali także w nieładzie, szeregowcy więc otrzymali górę.

— A gdzieżeś ty tam, Billu? zawołał z dołu głos jakiś który snadnie rozpoznaliśmy obydwa.

— Jesteśmy — jesteśmy — odpowiedział wosoło Garej.

— A co daliśmy baserunek tym czerwonoskórym możemy śmiało się pochwalić — niech jednak dyjabli porwą przeklętych Meksykanów. Uciekli szelmy...

ROZDZIAŁ XLII.

Wyjaśnienie.

Walka nie trwała więcej jak dziesięć minut, ale była tak gwałtowną że po pierwszym strzale broń już nie była powtórnie nabitą.

Co do gierylasów, okrzyki indyjan widocznie wytrąciły im broń z ręki, bo miejsce z którego zostali wyparci było literalnie zasypane karabinami, rusznicami, lancami. Długi muszkiet El-Zora pozostał także na placu.

Pomimo krótkości, starcia dla meksykanów i indyjan klęska była stanowczą. Pięciu gierylasów poległo, kilkunastu dzikich leżało bez życia na stepie.

Meksykanie leżeli niedaleko od skały, bo padli rejterując. Indyjanie troszkę dalej bo dotrzymali placu.

Ci ostatni polegli od rewolwerów a prawdopodobnie ani widzieli ani słyszeli dotąd o tej okropnej broni, bo pierwszy to raz spotkali się z odziałem wojska zaopatrzonym w te piekielne narzędzia niszczenia.

I szeregowcy jednak nie wyszli bez szwanku, owszem ciężkie dosyć ponieśli straty, dwu poległo, kilkunastu niebezpiecznie było ranionych strzałami z łuków.

Podczas kiedy Quakenbos wdrapywał się do nas na skałę, ja z Billem rozmawialiśmy o szczegółach wypadków których byliśmy świadkami.

Indyjanie więc jak się pokazało była to banda komanszów.

Przybyli na step najzupełniej przypadkowo przynajmniej nie myśleli ani o nas ani o amerykanach. Byli jak się należy uzbrojeni bo wyszli z zamiarem napadnięcia i zrabowania bogatego miasta meksykańskiego leżącego po drugiej stronie rzeki Granda o jakie dwadzieścia mil od wioski.

Szpieg ich odkrył gerylasów rozłożonych u stóp mesa — poznał w nich meksykanów których dumny komansz ma w największej pogardzie — chociaż sobie ceni konie meksykańskie, ich siodła wysadzane srebrem szerokie płaszcze, wzorzyste kaftany z wyszyciem i guzikami a w ogóle całe ubranie i uzbrojenie. W celu otóż pochwycenia tego wszystkiego uskutecznili napad, tak przynajmniej objaśnił nas jeden z nich który ranny i pozostawiony na placu a który był jak się pokazało następnie, był meksykaninem wziętym do niewoli przez komanszów i zdziczał w niej zupełnie.

Szczęście to dla owego miasta Meksykańskiego że dzicy po rozprawie z szeregowcami odstąpili od pierwotnego zamiaru i powrócili smutni i upokorzeni.

Co do szczegułów innych tych nie potrzebowano nam wyjaśniać.

Rube jakeśmy to byli przypuszczali zdrów i cały dostał się do wioski a w dziesięć minut po opowiedzeniu naszej przygody — pięćdziesięciu szeregowców z Helingsworthem na czele pędziło nam na odsiecz.

Rube prowadził ich ze swoją zwykłą przenikliwością. Tak samo jak i indyjanie szeregowcy postępowali tylko podczas zupełnej ciemności, ale ponieważ przybywali z przeciwnej strony mieli zawsze górę między sobą a nieprzyjacielem, więc spodziewali się zajść go niespodzianie.

I doszli już prawie na odległość strzału gdy posłyszeli okrzyki wojowników indyjskich i banda rejterujących meksykanów przypadkiem wpadła na nich. Bez namysłu dali do nich ognia, puściwszy się następnie cwałem oko w oko zeszli się z dzikimi wojownikami stepów.

To niespodziane spotkanie było okolicznością bardzo szczęśliwą dla gierylasów, którzy korzystając z zamieszania mieli wszelką łatwość ucieczki.

Ciekawa rzecz co by było gdyby szeregowcy nie przybyli na plac boju.

Indyjanie byli by nam chcąc niechcąc dopomogli... ja i Bill moglibyśmy nie być odkrytemi przez nich ale przepadłyby były nasze konie na zawsze.

Tymczasem teraz siedzieliśmy już na rumakach naszych i swobodnie zwróciliśmy się wesoło maszerując ku wiosce. Wheatlej trzymał się obok mnie, a Helingsworth pozostał z oddziałkiem na placu dla zebrania łupów i pochowania poległych. Kiedyśmy odjeżdżali rzuciłem jeszcze okiem na teatr przedchwilowej walki.

Helingsworth chodził pomiędzy trupami, gierylasów obracał każdego na wszystkie strony. Jego poruszenia były tak dziwne a on sam miał taką osobliwą minę że można go wziąść było albo za poszukującego ciała przyjaciela poległego w rozprawie albo za włóczęgę kręcącego się dla obdarcia trupów.

Nie o tem on jednakże myślał — szukał nieprzyjaciela ale go nie znalazł. Po przypatrzeniu się dobrze rysom pięciu trupów odwrócił się najobojętniej od miejsca na którem

leżały, przekonawszy się że ten którego poposzukiwał nie był w ich liczbie.

— Jakież tam u was nowiny Wheatlej — zapytałem towarzysza?

— Jakie nowiny kapitanie oh! oh! wielkie bardzo wielkie. Powiadają oto że nie dostaniemy się do Meksyku trzymając się tej drogi jakąśmy obrali chcą nas więc wycofać i przewieść morzem do jakiego niższego portu zatoki a podobno do Vera-Cruz.

— No to nowiny nie lada.

Nie podobają mi się jednakże odpowiedział Wheatlej. Zrozumiałem po części te niechęć. Wheatlej nie miał ochoty ruszać się z miejsca. bo tu nie rozumiał co to znaczą nudy. Wolne chwile spędzał bardzo przyjemnie w towarzystwie Conchity czarnookiej córki alcada, a sam nieraz niestety przeszkodziłem niechcący ich romansowym rozmowom. W oczach texeńczyka wioska ze swojemi chatami ulepionemi z błota i uliczkami pełnemi kurzu, była siedzibą o złotych pałacach z ulicami brukowanemi złotem. Był to raj dla Wheatlea a Conchita jak anioł upiększała to i tak cudowne miejsce. Chociaż z początku gdyśmy się tu dostali, radziśmy byli wynieść się jak najprędzej, teraz podobno ani ja ani on nie bardzo życzyliśmy sobie zmieniać kwatery.

— Dotąd zresztą nie nadszedł żaden rozkaz ściągania piket ale towarzysz mój zapewnił że pogłoski sztabu były pewne i że lada chwila możemy się czegoś spodziewać.

— A cóż mówią o mnie.... zapytałem Wheatleya.

— O tobie kapitanie?... Cóż chcesz ażeby o tobie mówiono.

— Z pewnością musiano coś mówić o mojej nieobecności.

— A o tem nikt nie wie ani słowa przynajmniej w głównym sztabie, a to z tej prostej przyczyny iż nie donosiliśmy o twojem zniknięciu.

— Doprawdy?.. A to dobra nowina ale jakże się to stało?...

— Helingsworth i ja byliśmy zdania że lepiej jest ukrywać tę okoliczność dopóki nie przekonamy się co się z tobą stało choć przyznam ci się że nie mieliśmy już żadnej nadziei zobaczenia się z tobą. Pastuch atoli który ci służył za przewodnika dodał nam trochę otuchy objaśniwszy nas za powrotem że dwóch trapperów poszło cię szukać. Z opisu jego poznałem Ruba i uspokoiłem się nieco...

Dziękuje Ci przyjacielu, postąpiliście uczciwie a rozumne zachowanie się wasze oszczędzi mi nielada zmartwień.

— A więcej nic nowego spytałem po chwili?

— Nie odpowiedział Wheatley nic przynajmniej takiego co by warto było powtórzyć. Ale prawda zawołał przypomniawszy coś sobie, jest jeszcze mała nowinka. Przypominasz ty sobie owego łotra który włóczył się około wioski w pierwszych dniach naszego tam przybycia?.. Otóż poszli sobie za nim gdzieś mężczyzni, tak że nie pozostał nikt oprócz starców i kobiet. Pytałem się alcada w którą stronę się wynieśli, ale stara peruka potrząsnęła tylko głową i odpowiedziała mi przeciągając wyrazy: kto to wie, nie ulega wątpliwości że pospieszyli połączyć się z jakąś bandą gerylasów. Do pioruna, jak o tem myślę nie wątpię czy nie byli oni w tej partyi którąśmy oto rozproszyli. A nawet jak się Wheatlej nazywam widziałem jak Holingsworth oglądał trupów kiedyśmy z tamtąd odjeżdżali. On ich rozpozna i powie nam czy się pomiędzy niemi nie znajdował jaki nasz dawny znajomy.

Ponieważ wiedziałem o tem lepiej od Wheatleja opowiedziałem mu o gierylasach i ich wodzu.

— Do stu piorunów domyślałem się Rafaela Iżurra i teraz się nie dziwię dla czego Holingsworth tak żywo skoczył na konia dla czego tak mu było pilno dostać się na miejsce że zapomniał nawet powiedzieć kogo właściwie mieliśmy gonić. A do dyjabła tośmy dopiero głupcy żeśmy pozwolili tak się wymknąć tym łotrom. Trzeba ich było wyłapać aż do ostatniego. Doprawdy powinniśmybyli tak zrobić do milijona piorunów!....

Jechaliśmy kilka minut w milczeniu.

— Dwadzieścia razy pewne pytanie przychodziło mi na usta ale powstrzymywałem się w nadziei że Wheatlej będzie miał wreszcie do powiedzenia mi coś interesowniejszego nad to o czem mi dotąd opowiadał, Whatlej milczał jednakże.

Przybrałem tedy minę najobojętniejszą i zadałem mu następujące pytania:

— Czy nie mieliśmy jakich wizyt czy nikt nie był z głównego obozu?...

— Ani kot odpowiedział Whatlej i zamyślił się znowu.

— I nikt się zgoła o mnie nie pytał, nalegałem postanowiwszy wydobyć zeń coś koniecznie.

— Nie—odpowiedział adjutant—Ale czekaj pan...ach tak prawda dodał głosem który wydał mi się szczególnym—tak, tak pytano się o pana.

— Któż to taki...zapytałem niby od niechcenia.

— A ot nie umiem tego powiedzieć odparł adjutant żartobliwie ale ktoś co się ogromnie o ciebie niepokoi. Jest to mały Meksykanin który się ciągle przychodził pytać o Pana ale jasna rzecz że ten chłopak przychodził od kogoś trzeciego filut jednak nie chciał się przyznać kto go przysyła. Pytał tylko czyś powrócił, i robił bardzo smutną minę kiedy mu odpowiadano przecząco. Tyle wiem tylko że przychodził i powracał drogą prowadzącą do hacyjendy.

Wheatlej położył znaczący nacisk na tych słowach

— Mogliśmy przytrzymać tego posła jako szpiega dodał spokojnie i trochę szyderczo ale myśleliśmy że musi być od kogoś z przyjaciół...

Mój towarzysz skończył swoje objaśnienia przyczem uśmiech szyderczy ożywił nieco jego fizyjonomiję.

— Nie raz prześladowałem go Conchitą teraz on mi odpłacił za to.

— Nie miałem ochoty się obrazić mój towarzysz mógł sobie więcej nawet pozwolić w tej chwili. Jego głos wpadał mi w ucho jak najprzyjemniejsza muzyka i odbywałem dalszą drogę z tą dumną pewnością że nie jestem zapomniany Isolina była szczerą.

W krótce spojrzenie moje zatrzymało się na błyszczącym jakimś przedmiocie. Była to pozłacana chorągiewka małej kapliczki po za którą zobaczyłem białe mury hacyjendy kąpiące się w bladych promieniach księżyca.

Dziwne mnie uczucia opanowały gdym patrzył na tę siedzibę. d. c. n.

POGADANKI OGRODNICZE.

Edmunda Jankowskiego.

Kandydata nauk przyrodzonych
Starszego ogrodnika w ogrodzie pomologicznym w Warszawie.

IV.

Formowanie korony — wykrzesywanie jej — czyszczenie kory — wapnowanie — uprawa gruntu — podlewanie — gnojenie.

Pierwszą czynnością do której należy przystąpić po posadzeniu drzewek na miejsce, jest formowanie korony. Przypuszczamy że zakładający sad nabył szczepki jednoletnie, pytanie jak ma z niemi postępować żeby nadać im formę najwłaściwszą?

Koronę drzewa formuje się zwykle albo w wysokości 1½ do 2 łokci od ziemi, a wtedy pozostają t. z. *pólpnie* albo też w wysokości człowieka słusznego wzrostu, co stanowi *pnie*. Widocznie pół-pnie można uwieńczyć koroną prędzej niż pnie, nie radzimy jednak nadawać taką formę drzewom, bo korona ich zbyt nisko nad ziemią rozpostarta cieniuje ją i czyni uprawę wszelkich innych roślin nie możliwą, a prócz tego zwierzęta i ludzie łatwo szkody w owocach wyrządzić mogą. Pnie zatem wysokie na 3 łokcie zalecamy.

Wiedząc to, zrozumiemy łatwo że w pierwszych latach życia szczepka idzie nam o otrzymanie w jak najprędszym czasie grubego prostego pieńka. W tym celu na wiosnę po posadzeniu w sadzie, przycinamy szczep w połowie jego wysokości, w skutek czego otrzymamy w ciągu lata jeden pęd główny czyli t. z. *przewodnik* i mnóstwo bocznych, słabszych od niego. Tych ostatnich nie odejmujemy, bo korzystnie wpływają na grubienie łodygi, tylko w końcu lata przyłamujemy je nieco gdy zamocno rosną.

Następne wiosny powtarzamy przycięcie przewodnika, lecz teraz już prawie przy jego nasadzie, bo przez to skupiamy cały zasób soków na kilka pączków pozostałych i otrzymamy niewątpliwie bardzo silny, prosty przewodnik.

Traktowane w ten sposób szczepki po trzech latach rośnienia tak zwykle są już mocne, że 4-tej wiosny możemy rozpoznać formowanie korony. W tym celu ucinamy przewodnik w wysokości człowieka nad sinem oczkiem, poczem odejmujemy gałązki boczne na szczepku będące, aż do półowy jego wysokości. Z oczek przy wierzchołku tak przyciętego drzewka znajdujących się, w lecie rozwijają się 3—4 lub 5 pędów silnych. Najsilniejszym z nich urywamy paznogciami (*uszczykujemy*) wierzchołki w końcu czerwca lub w początkach lipca żeby równowagę między wszystkiemi zaprowadzić przez równy rozdział soków. Następnej (piątej z kolei) wiosny, mamy do czynienia z drzewkiem posiadającem już pierwsze piętro korony, złożone z 3—4 lub 5

gałązek. Dla utworzenia drugiej seryi gałęzi głównych przycinamy wszystkie te gałązki na 10—12 cali od nasady nad dwoma oczkami. skierowanemi na boki. Jednocześnie oddalamy wszystkie gałązki boczne w pieńku będące W lecie otrzymujemy 6, 8 lub 10 pędów i z tych znów zbyt silne uszczykujemy.

Nareszcie jeżeli z szóstą wiosną cięcie dokonane przed rokiem powtórzymy na otrzymanych gałązkach, powstanie ich w ciągu lata 12—16 lub 20 i na tem korona ogranicza się. Posiada ona kształt puharu lub wazy o ramionach symetrycznie rozłożonych, a promienie słoneczne mają do niej łatwy dostęp. Najkształtniejsza korona powstaje z 20 gałęzi, czyli z 5 pierwotnych.

Niektóre grusze mają z natury skłonność do tworzenia stóżków z formy do świerków podobnych. Taką postać nadać im możemy zachowując corocznie przewodnik główny który ucinamy w połówce wysokości. Z powstających pędów wybierać trzeba do korony, rozłożone najlepiej i oddalone od siebie o kilkanaście cali.

Gdy korona prawidłowo jest uformowaną niewiele wymaga starania ze strony ogrodnika. Dosyć tylko przejrzeć ją raz na wiosnę i raz w ciągu lata, przy czem oddalać trzeba gałęzie krzyżujące się lub zbyt gęsto obok siebie stojące; nadto, szczególniej na starszych drzewach wychodzą tu i owdzie prostopadłe bardzo silne pędy, są to t. z. *wilki*, które zwykle owocu nie dają. Najlepiej będzie usuwać je w lecie gdy są jeszcze pędami, bo wtedy rany łatwiej się goją.

Gdyby wypadło *czyścić* czyli wykrzesywać korony drzew starszych, to przedewszystkiem oddalać trzeba *susz* czyli gałęzie uschnięte, potem krzyżujące się. Używać do tego ostrego noża lub piłki ogrodniczej, której ślady koniecznie nożem zagładzić wypada. Rany robi się jaknajmniejszej średnicy przecinając gałęzie prostopadle do ich długości a nie ukośnie, i zasmarowywa maścią ogrodniczą. Nie radzimy odejmować zbyt wiele gałęzi na raz szczególniej u drzew pestkowych, bo się w nie łatwo guma wdaje; lepiej rozłożyć takie odjęcie grubych gałęzi na dwa lata.

Z wiekiem kora drzew rosnąca przez przybywanie coroczne nowych warstw od wnętrza, grubieje, pęka i staje się chropowatą. W szczelinach tej martwej kory znajdują przytułek liczne owady, składające tam jajka, na niej samej rosną mchy, porosty, grzyby tamujące przystęp powietrza, a przez to oddychanie. Żeby więc pozbyć się tych nieproszonych gości a korę odmłodzić, zwykle na wiosnę skrobią drzewa, za pomocą odpowiednich skrobaczek lub tylcem noża, nadto szczotkują ostremi szczotkami w ługu maczanemi. Przy dokonywaniu tej ze wszech miar korzystnej czynności, strzedz się należy uszkodzeń młodej, zdrowej kory, oraz zadawania ran drzewu. Dla ostatecznego zniszczenia owadów i roślin na korze gnieżdżących, oraz dla zabezpieczenia soków od wysychania szybkiego w lecie, wapnują drzewa używając do tego bądź to gliny z gnojówką i wapnem, bądź też czystego wapna, co po wielu próbach znalazło obszerne zastosowanie we Francyi. Wapno rozrobione wodą na mleko wyrzuca się na drzewo w kształcie kroplistego deszczu, zapomocą ręcznych sikawek lub pomp w których działa zgęszczone powietrze. Powłokę taką w ciągu lata zmywają deszcze.

Na wiosnę gdy ziemia odmarznie i obeschnie nieco, okopują się drzewa owocowe, następnie zaś w ciągu lata motykują 2—3 razy dla spulchnienia ziemi i zniszczenia chwastów.

Jeżeli potrzeba zachodzi, można drzewa owocowe szczególniej w pierwszych latach ich istnienia podlewać, lecz pamiętać wypada, żeby wtedy dawać im naraz dużo wody. W ogóle powiedzieć można że wszystkie rośliny wolą dużo wody a rzadko, niż mało a często.

Gdy drzewa rosną słabo, co widać po małych porostach rocznych lub też dużo bardzo wydają owocu, powinniśmy zasilać je nawozami. Najlepiej udaje się nawożenie na wiosnę oraz w czerwcu lub lipcu; w zimie bardzo jest szkodliwe, bo korzenie o gnicie przyprawia. Posilny a zarazem niekosztowny nawóz stanowią odchody ludzkie rozcieńczone wodą do których dosypano popiołu lub mączki z kości. W około drzewa pod zakończeniami jego gałęzi mniej więcej, a zatem na prost zakończeń korzeniowych, wykopuje się nie głęboki rowek, rozlewa się w nim nawóz, wodą spłukuje i napowrót rowek ziemią się zasypuje.

Czereśnie płynnych nawozów nieznoszą, zasilać je należy przetrawionemi kompostami w rowki sypanemi.

Listy z Niemiec.

I.

Pracowitość i nauka niemców — Pierwsza cechą ogólną, druga wyłączną jednej tylko klasy uczonych. —Nieprzerwana czynność uniwersytetów i uczonych niemieckich.—Tradycyja naukowa w Niemczech.— Niedostatki nasze.—Uniwersytet Lipski.—Wydział filozoficzny.—Lingwistyka.—Jerzy Curtius. — Katedra języków słowiańskich. — August Leskien.— Takaż katedra w Berlinie. — Chorwat Watrosław Jagić.

Znana jest i powszechnie uznana pracowitość i nauka niemców. Dwie te potężne dźwignie istotnego postępu, jak wiadomo, nie w równej mierze odnieść się dadzą do masy całego narodu. Jak pracowitość jest cechą ogólną, przyrodzoną—rzecby można — wszystkich niemal warstw i stanów niemieckiej ludności, tak nauka, ograniczona w szczuplejszej nierównie sferze, uprawiana jest i rozwija się wśród jednej tylko, wyłącznie jakby uprzywilejowanej klasy uczonych. Stąd też w Niemczech, bardziej może niż gdzieindziej, wybitną jest różnica pomiędzy najwyżej rozwiniętą umysłowością klasy uczonych, a pozostałemi warstwami narodu, oddanemi życiu czynnemu, praktycznemu.

Niemniej jednak rozwój naukowy w Niemczech olbrzymi: liczba specyjalnych w każdej gałęzi pracowników corocznie wzrasta, w każdej z nich wyrabiają się nowe pojęcia, dokonywają się nowe odkrycia, ciemnie się rozjaśniają, nauka kwitnie, postępuje. U nas, pomimo niejakiego ożywienia umysłowego, pomimo niezaprzeczenie głębszego poczucia potrzeby i szerszego rozpowszechnienia się tej potrzeby wśród pewnej warstwy naszego ogółu, pomimo to, mówię, u nas o istotnym rozwoju naukowym, o uprawianiu nauki dotychczas mowy nie ma. Pozostaliśmy w tyle i nie pospieszamy. (Medycyna tylko może stanowić pewien wyjątek.) U niemców praca naukowa postępuje biegiem nieprzerwanym. Do rezultatów, zdobytych trudem poprzedników, zaprzęgają się przygotowane umysły następców i nowemi siłami naukę posuwają naprzód. W Niemczech było i jest to rzeczą zwykłą i możliwą. Niemcy wyrobili u siebie tradycyją pracy naukowej;— my takiej tradycyi zgoła nie mamy. Liczne w Niemczech towarzystwa naukowe, kongresy, zebrania prywatne, dostarczające niejednemu zachęty i podniety moralnej, obfitość specyjalnych pism i łatwość korzystania z biblijotek są to wszystko przyjazne dla pracy naukowej pomoce. Co powiesz czytelniku? nawet zwykłe posiedzenia ogródkowe przy piwie nie przechodzą bez korzyści dla nauki; podczas nich bowiem pomiędzy ludźmi naukowemi toczą się rozmowy, spory i ożywione nieraz dysputy naukowe. Wznacznej jednak części pomyślny ten stan nauki w Niemczech przypisać należy obficie wśród tego kraju rozsianym uniwersytetom (Berlin, Lipsk, Halla, Jena Getynga, Heidelberg i w. in.) Niedawne to jeszcze czasy, kiedy Berlin należał do pierwszorzędnych ognisk niemieckiej uczoności. Dziś o stanowisko takie uniwersytet Lipski nieznacznie ryzalizować zaczyna. Należy on do najstarszych w Niemczech, bo założenie jego sięga początku XV-go wieku (1409 r.) W mieście zajmuje dziś znaczne terytoryjum, obszernemi gmachami zabudowane. Frontem głównym wychodzi na piękny „Augustus Platz" przy którym z trzech pozostałych stron wznoszą się okazałe budowle: nowego teatru miejskiego (Neues Stadt-Theater), muzeum i gmachu pocztowego, który, pomimo że stoi na ziemi „*królestwa*" saskiego, mieści jednak w sobie „*keiserliches* Postamt," jak tego siła, politycznie jednocząca Niemcy, rzekomo wymaga. Uniwersytet, obok bogatych uposażeń, posiada wspaniałą biblijotekę, której korytarze ozdobione są starożytnemi malowidłami, przedstawiającemi sceny religijne z życia klasztornego. W licznym zastępie jego profesorów spotkasz tu na katedrach każdego wydziału niejedną potęgę umysłową, rozgłośnej sławy używającą w nauce. Liczba też słuchaczów co rok gromadzi się tu większa; zwykle 2,000 wynosząca w roku obecnym półtrzecia tysiąca dochodzi (w Berlinie nieco po za półtrzecia tysiąca przechodzi.)

Jak każdy niemiecki, tak i lipski uniwersytet podzielony jest na 4 wydziały: teologiczny, prawny, medyczny i filozoficzny. Ten ostatni oprócz wszystkich działów filozofii, obejmuje wykłady językoznawstwa, historyi, matematyki i nauk przyrodniczych, t. j. nauk, które u nas wykładane są na dwu wydziałach: filologiczno-historycznym i matematyczno-fizycznym. Z tego powodu liczba wykładających na tym wydziale jest największa i 70 przechodzi, gdy tymczasem każdy z pozostałych wydziałów ma ich o połowę mniej; me-

dyczny np. posiada 36-u. Rok szkolny zaczyna się w październiku, dzieli się na dwa półrocza, a wykłady na wszystkich wydziałach trwają do 15 sierpnia. Mieliśmy sposobność przysłuchać się niektórym, bliżej nas obchodzącym. Na wydziale filozoficznym katedrę lingwistyki porównawczej, a w części i filologii klasycznej zajmuje Jerzy Curtius. Uczony ten, poprzednio profesor w Pradze, następnie w Kiel, a od r. 1862 w Lipsku, niedawno obchodził w tem mieście jubileusz 25-cio letniego swego zawodu profesorskiego. Znakomite dzieła jego, jak: „Zarysy etymologii greckiej“ (Grundzüge der greichischen Etymologie), napisane ze stanowiska porównawczego, „Gramatyka grecka“ (znana i u nas powszechnie z przekładów polskiego i rosyjskiego), „O chronologii języka,“ peryjodyczne wydawnictwo, poświęcone filologii klasycznej (Studien zur griechischen u. lateinischen Gramatik) i wiele innych prac, szeroko sławę jego rozniosły, głównie jako filologa klasycznego, i w znacznej części przyczyniły się do ustalenia w Niemczech obecnego kierunku klasycznego w wychowaniu szkolnem. W półroczu ostatnim, oprócz zajęć w seminaryjum filologicznym, wykładał „Początki językoznawstwa porównawczego“ (Elemente der vergleichenden Sprach-wissenschaft). Wykład ten w wielkiej sali zgromadzał 4 razy tygodniowo po 200-u słuchaczów. Zewnętrzne przymioty go odznaczające, są: prostota, jasność i przystępność; ze względów tylko teoretycznych pewne objaśnienia zjawisk językowych, w dzisiejszej dobie nauki uważane być muszą za zbyt mechaniczne, i ściśle naukowej krytyki nie wytrzymują (tak zwane np. pasorzytne dźwięki „Schmarotzer, oder parasitische Laute,“ o których uczony ten naucza i w swojej „Grundzüge,“ znajdują także uwzględnienie i w ustnym wykładzie z katedry, choć w gruncie rzeczy nie są wcale naukowym rzeczy tłomaczeniem) Mimo to całość wykładu ma niezaprzeczenie wartość wielką, rzuca bowiem światło jasne na cały przedmiot, zapoznaje słuchacza i wprowadza go w rozległą sferę materyjału naukowego, ukazuje mu metodę, i tym sposobem zaopatruje go w zasadnicze wiadomości niezbędne do dalszych samodzielnych badań językowych. To też w razie wywiązania się jakichkolwiek dyskusyj naukowych w obrębie językowym, w Niemczech porozumienie się jest zawsze możliwe, bo prowadzą je ludzie z odpowiedniem przygotowaniem i na drodze ściśle naukowej. U nas rzecz się ma inaczej: w charakterze specyjalisty występuje zazwyczaj felijetonista z płynnym wysłowieniem, lub też samorodny marzyciel. Ufny przedewszystkiem we własny gienijusz, a prócz tego pomny swych studyjów, na gramatyce Sierocińskiego odbytych, zabiera on śmiało głos w kwestyjach gramatycznych, kładzie swoje *veto* na wszelkie reformy w pojęciach, jako na zgubne, bo dla siebie niepojęte „nowinki niemieckie,“ i pomimo że prawi duby smalone, osłonięty jednak powagą własnego natchnienia, znajduje posłuch u dobrodusznych czytelników. Możliwe to, a nawet całkiem naturalne u nas, gdzie za szkoły głównej przedmiot tyle ważny, jak *językoznawstwo porównawcze*, po macoszemu był traktowany i nielicznych w słuchaczach znalazł zwolenników, obecnie zaś w uniwersytecie—rzecz dziwna— zupełnie został zaniedbany.

Innym uczonym Lipskim, który jako znawca słowiańszczyzny zasługuje tu choć na krótką wzmiankę, jest prof. August *Leskien.* Z języków słowiańskich posiada dokładnie główniejsze, jak: starosłowiański, polski, rosyjski, czeski i serbski. W ubiegłym półroczu wykładał język słowiański wraz z ćwiczeniami praktycznemi, podług wybornego swego podręcznika: „Handbuch der altbulgarichen (altkirchenslavischen) Sprache. Grammatik, Texte, Glossar.“ (Weimar 1871). W obecnym zaś półroczu zimowym wykładał etnografiją ludów słowiańskich. Korzystając z uprzejmości sz. profesora, mieliśmy sposobność podczas kilku tygodni przekonać się, że pod względem gruntownej i wszechstronnej znajomości starosłowiańszczyzny wykłady jego w uniwersytecie Lipskim przewyższają znacznie wykłady podobne dwu słowiańskich profesorów, jakich przed kilku laty słuchaliśmy w Warszawie.

Na zakończenie dodamy, że Niemcy od pewnego czasu zaczynają się coraz bardziej interesować rozległym szczepem słowiańskim, głównie zaś jego historyją i językami. Świeży tego dowód mamy w powołaniu do Berlina na słowiańską katedrę chorwata Ignacego (Watrosława) *Jagić'a* znanego z kilku cennych prac językowych lingwistę, poprzednio przez krótki czas profesora uniwersytetu odeskiego.

Ad. Ant. Kryński.

Przegląd Teatralny.

Intryga i miłość, tragedyja w 5 aktach Fryderyka Szyllera, przekład M. B. (przedstawiona po raz pierwszy na benefis p. Modrzejewskiej.

(dokończenie.)

Skoro jednakże gwałtowny ten środek nie wydał należytego skutku, występuje siła inna tajemnicza, zatruta jadem zaguby i pełzająca w ciemnościach ponurego mroku. Siłą tą jest zręczna intryga. Ona wydaje śmiertelną walkę potędze miłości. Zraniony wąż snuje inny plan działania. Sekretarz Wurm bardzo rozsądnie rozumuje. Zamiast bezskutecznym gwałtem rozdrażniać Ferdynanda, lepiej będzie w piersi jego zasiać zatrute ziarno niewiary. Wtedy-łatwowierny młodzian własną dłonią skruszy posąg uczucia, wystawiony bożyszczu swemu. Lecz dla przeprowadzenia tego zamiaru potrzeba jasnego dowodu. W jakiż sposób zdobyć takowy? Ha!— myśl piekielna błysła w duszy tej gadziny. Niechaj Ludwika sama zada cios szczęściu swojemu, niech dobrowolnie podpisze wyrok zaguby. I wąż zbliża się do ofiary, słodkiemi głaszcząc ją słowy. Lecz w dźwięku ich toczy się zwolna kropla po kropli trucizna. Zręcznemi półsłówkami daje do zrozumienia nieszczęsnej córce, że rodzice jej smutnemu ulegną losowi, niby z litością ukrywając najczarniejszą prawdę. Przyprowadziwszy w ten sposób duszę dziewicy do gwałtownego szału rozpaczy, rzuca niby ostatnią deskę ocalenia która od niej ma zależyć. Potrzeba tylko napisać list, osławiający własną cnotę i zgubić się tym sposobem w oczach kochanka. Tu to prawdziwie tytaniczna występuje walka! Burza różnorodnych uczuć wre w piersi Ludwiki, aż wreszcie po długiem wachaniu biedna ofiara składa pokornie głowę na ołtarz poświęcenia. Uroczysta przysięga na wieki zamyka jej usta. Dziewica spełniła do dna kielich życia. Nic jej już nie pozostało na ziemi. Jad boleści i walka wyżarły wszystkie żywotne soki ducha. Myśl podąża w inną, szczęśliwszą krainę. Krwawa mara samobójstwa staje przed obliczem zamarłej dla świata dziewicy. Jedna tylko siła zdołała jeszcze przykuć ją na chwilę do życia i powstrzymać dłoń samobójczą, to siwe włosy zbolałego ojca. Lecz to, czego sama nie śmiała uczynić, zdziałała krusząca ją potęga. Ferdynand, dowiedziawszy się o mniemanej zdradzie kochanki, rzuca się, jak lew zraniony, napada na biedną ofiarę, i żąda z jej ust wyznania prawdy. Lecz usta te, zaklęte siłą przysięgi, potwierdzają wyrok surowy. Wtedy młodzian postanawia umrzeć razem z kochanką. Ona jest jego na wieki, życie jej z jego życiem nierozerwalnym związane węzłem. Skoro więc tu na ziemi połączyć się nie mogą, niechaj dłoń śmierci ich zaślubi! Lecz oto staje przed nimi blade oblicze starca, któremu wydziera on jedyną pociechę jedyny cel ostatnich chwil życia! Czemże okupić tak wielką krzywdę. Ha!—rzucić mu kieskę złota w zamian za życie dziecięcia. Zaiste, fakt ten ponurą szatą okrywa bohatera naszego, to też zrozpaczony ojciec nad trupem dziecięcia rzuca na umierającego młodziana ten piekielny wykup wraz z gorzkiemi słowami pogardy.

W ostatniej chwili zjawiają się sprawcy okrutnej zbrodni. W piersiach zimnego magnata rozbudza się płomień piekielnych zgryzot sumienia. U stóp syna żebrze o przebaczenie. A główny sprawca nieszczęścia stoi zimny i nieporuszony, zwalając całą winę na prezydenta; wreszcie, niewiadomo z jakiej przyczyny, oddaje się razem z wspólnikiem w ręce sprawiedliwości. Zbyt dziwnie występuje tu karząca dłoń losu, nie przyodziana zupełnie w szatę logiki życiowej.

Pogwałcone uczucia uwieńczone niebem męczeństwa, upadkiem swem zawodzą silny głos protestacyi wrogie siły bezprawia i okrucieństwa, chociaż napiętnowane wzgardą sromotną odnoszą jednakże tryumf nad ofiarami swemi. Szyller chcąc tem potężniej uwydatnić ich siłę piekielną i podłą, każe im zdruzgotać zupełnie zbolałe serca, rozerwać na zawsze jasną nić szczęścia i nie zatrzymać się aż nad grobem ofiary. Stąd tem silniejszy głos protestu, tem większa nienawiść ku ich potędze.

Łatwiej byśmy przebaczyli gadzinie, która rozdarła pierś nieszczęśliwego, gdyby ten choć po długich cierpieniach powrócił do zdrowia. Ale nad świeżą mogiłą, zagrzmi ponury głos bezwzględnego potępienia.

Lecz idąc za ciągiem głównej akcyi, pominęliśmy kilka drugorzędnych postaci. Faworyta księcia Lady Milfort nie jest pospolitą rozpustnicą. Upadła ona pod naciskiem niedoli i sieroctwa. Jednakże w piersi dumnej Angielki nie zastygła szlachetna krew przodków.

Na popielisku różnorodnych uczuć zagorzał płomień gorącej miłości ku Ferdynandowi. Bo jakżeż innym on był od tej czeredy dworskiej, liżącej pokornie jej stopy, od tych nadętych głupców i intrygantów. W dumnym i szlachetnym młodzianie widzi istotę wyższą, ku której dążą niepowstrzymanym prądem wszystkie pragnienia jej serca. Lady Milfort jest kobietą upadłą, lecz i na dnie upadku jaśnieje promień podniosłych uczuć. Ona jedna ubolewa nad niedolą narodu, jedna mu łzy ociera. Dowiedziawszy się że ofiarowane jej dary książęce nabyte były ceną krwi i łez niedoli ze wstrętem odrzuca je i kładzie na ołtarz ofiary. Nawet Ferdynand który wpada z wściekłą burzą uczuć, aby rzucić jej w oczy żrące słowa pogardy, odczuwa w tej kobiecie coś wyższego nad prostą bezecnicę. Jednakże Lady napotkawszy w nim stanowczy opór, porywa się jak zraniona lwica do walki i postanawia gwałtem dążyć do upragnionego celu. Ale dumna ta kobieta schyla pokornie czoło przed niebieskim blaskiem cnoty, jaśniejącym na czole córy mieszczańskiej. Jednakże jako egoistka, nie ustępuje praw swoich. Słowem poeta nie stawia upadłej istoty na piedestalu męczeństwa i poświęcenia, nie wieńczy schańbionej głowy aureolą potężnej cnoty, lecz podnosząc ją z kału i nicości, skazuje na pokutę pracy i niedostatku.

Śmieszność i drobiazgowość dworskiej etykiety, obok napuszystości i głupoty—uosabia się w całej pełni w ministrze Kalbie. Tylko artysta grający tę rolę, p. *Grubiński* nie pojął jej zupełnie, i zrobił z tej postaci prostego fircyka jakich w salonach wielkiego świata napotkać można.

P. *Modrzejewska* wzięła na siebie niewdzięczną bardzo rolę. Ciągle prawie jeden i ten sam nastrój duchowy Ludwiki nader subtelnego potrzebuje cieniowania, aby nie wpaść w zbyteczną ckliwość i monotonność. Znakomita artystka wywiązała się z tak trudnego zadania znakomicie. Gdyby tylko złagodzić nieco płaczliwy ton pierwszych akordów tej pieśni uczucia całość byłaby jednym rozlewającym się zwolna strumieniem. Potężna walka uczuć w scenie z Wurmem, kiedy ten skłania Ludwikę do napisania zabójczego listu, wyszła w grze p. Modrzejewska w całej pełni porywającej dramatyczności.

P. *Rakiewiczowa*, jako lady Milford, zajaśniała siłą prawdziwego talentu. W scenie z Ferdynandem artystka dowiodła, iż szczególniej w chwilach gwałtownej burzy uczuć i silnej dramatyczności umie z prawdziwem mistrzowstwem stanąć na wysokości wykończonego artyzmu.

Rola Millera jest nową perłą w bogatej skarbnicy tylu potężnych postaci, jakiemi p. *Królikowski* scenę naszę zbogacił. Prosta a tkliwa, serdeczna i szlachetna dusza mieszczanina jaśniała w całej grze znakomitego artysty. A w chwilach gwałtownych porywów dramatyczności w piersi artysty drżał ten wiecznie młodzieńczy, a nigdy nie wyczerpany zapał, który wzrusza i unosi publiczność naszę. W scenie z prezydentem p. K. doszedł szczytu mistrzowskiego wykończenia.

Rolę Ferdynanda grał p. *Leszczyński*. W chwilach przerażających dramatyczną grozą artysta ten zajaśniał się całą pełnią swego talentu. Lecz w lirycznych wylewach uczuć, zabrakło mu tej miękkości i serdecznego ciepła, jakiemi działa młodzieńcza pierś kochanka.

P. Rapacki w Wurmie odtworzył nam jedną z tych pełzających postaci, których pełno w każdem mrowisku społecznem. Prosta to żmija, a nie żaden duch Szekspirowskiego Jagona. Taką chciał mieć poeta, i za prawdziwą zasługę poczytujemy artyście wierne zrozumienie jego myśli.

P. Stolpe zmienił nieco i złagodził charakter prezydenta; uwydatnił bardziej dumę i żądzę zaszczytów, niż gwałtowność i porywczość magnata. W ogóle jednakże wywiązał się należycie ze swego zadania.

Matkę Ludwiki grała panna *Figarska*. Trudno zaiste bardziej skarykaturować postać dramatyczną. Szyller utworzył w niej prostą, głupią i próżną, lecz mimo to dobrą w gruncie mieszczankę. Tymczasem artystka zszarżowawszy należycie ujemne przymioty, nie uwydatniła zupełnie dodatnich. Nawet iskry macierzyńskich uczuć dopatrzyć tu nie można.

Przekład utworu wierny, staranny, lecz ubogo ubarwiony nadobnem kwieciem poetycznem, grzeszy zbytnią suchością.

Ant. Pilecki.

ŚLADY ŻYCIA.

XV.

Tyle życia, ile... w czynie.

Może więc będziemy mieli niezadługo dom dla sierot w Ciechocinku. Dochód z Teatrów amatorskich w salce Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności, powinienby przyspieszyć wykonanie tej myśli — bo z widowisk bardzo licznie uczęszczanych, musiał się zebrać jaki taki na to fundusik — a plac pod budowę potrzebny już bezpłatnie zaofiarowanym został.— Czyby nawet nie było właściwem izby Towarzystwo Dobroczynności zaforszusowało brakujące koszta?.. — Fundusze przecież są — z urządzenia dalszego szeregu widowisk forszus pomału łatwoby pokryć przyszło — a sierotom czekać bardzo ciężko.

Ruch literacki powiększa się i na polu dramatycznem. Autor Nietoperzy przygotował nową a podobno znakomitszą jeszcze pięcioaktową komedyję p.t. „Gonitwy“ Pan Kazimierz Zalewski kończy nową również pięcio-aktową komedyję „Przed ślubem“ a autor Wita Stwosza (który 15-go t. m. ma być wystawionym,) pan Rapacki ukończywszy dramat pt. „Gwiaździarz“ znów ma nową pracę na warsztacie. Nowości więc scenicznych nie zbraknie, a przecież konkurs....

A propos tego konkursu godzi się powiedzieć, że początkowa ofiara hr. Jana Fredry, włączywszy dar bezimiennego ofiarodawcy złożony w Redakcyi Kuryjera Codziennego, a trzysta rubli wynoszący, urosła do rs. 1000 i że już utworzono komitet mający warunki konkursu ułożyć i zasiąść potem w areopagu sędziów. Czytając nazwiska osób zaproszonych do komitetu tego z żalem nam przychodzi zauważyć, iż nie jestto skład taki, jakim go sobie życzyć mamy prawo. Konkurs jest sprawą ogół obchodzącą, ogólniej traktowanym też być winien. Dalecy od posądzenia komitetu o koteryjność, mniemamy iż po za nazwiskami ogłoszonemi znajdują się jeszcze ludzie nauki z wyrobionym a wytrawnym sądem których do grona swego zaprosić by należało.

Piotrków d. 3 Kwietnia 1875.

Szereg publicznych prelekcyj na korzyść osad rolnych, o których wspomnieliśmy w poprzedniej korespondencyi, rozpoczną pp. Mayzel i Sztukowski—powtórzeniem tych samych odczytów, które prelegenci czytali w Warszawie. Za nimi pójdą odczyty: D-ra Wygrzywalskiego „O zboczeniach umysłowych,“ lub też „O środkach ostrożności w posługiwaniu się wodą, ogniem, i t. p.“ D-ra Szancera „O kąpielach“ p. Gądzikiewicza młodego i zdolnego prawnika „O sądach przysięgłych“ D-ra Rzeczniewskiego „O pokarmach“ i D-ra Vogdta „O krążeniu krwi i oddychaniu.“ Ten ostatni odczyt w połączeniu z doświadczeniami, niezbędnemi dla należnego zbadania rzeczy. Stąd aż nadto jasno pokazuje się, że najczynniejszy udział w tyle pożytecznej sprawie przyjęli lekarze piotrkowscy, którym za to należy się prawdziwe uznanie. Pierwszy z tych odczytów ma się odbyć w d. 11 b. m. Specyjalne uzdolnienie prelegentów każe spodziewać się sumiennego opracowania przedmiotu, pozostaje tylko pytanie, czy i o ile publiczność piotrkowska należycie zechce pojąć i zrozumieć całą doniosłość i znaczenie odczytów, i czy zechce *licznie* zbierać się na nie. Przykrą jest rzeczą przypuszczenie, aby zacne i uczciwe chęci ludzi miłujących dobro ogólne, miały rozbić się o obojętność i lekceważenie własnych interesów tegoż ogółu. Dla przestrogi pp. prelegentów zwrócimy ich uwagę, że aby odczyty w Piotrkowie mogły zgromadzać nie szczupłą tylko garstkę jednych i tychże samych osób, potrzeba aby ich treść nietylko uczyła, ale i *bawiła* koniecznie. Jakkolwiek poprzednio już pisałem, nieco o naszem piśmie Tygodniu, darujcie jednak, że może częściej będę Wam o nim pisywał, a to dla tego, że los pisma, opinija o nim myślącego lub nie myślącego, ale bądź co bądź czytającego ogółu, daje częstokroć bardzo wymowne świadectwo o skali naszej dojrzałości umysłowej i pojmowaniu potrzeb społecznych. „Tydzień“ ma zaledwie *stu* z górą prenumeratorów — cyfra tak mała, że nie jest w stanie pokryć kosztów całego wydawnictwa, zwłaszcza przy nizkiej cenie prenumeraty. A dlaczego Tydzień ma tak mało prenumeratorów. Odpowiedź na to pytanie zamieściło samo pismo w jednym z artykułów. Jedni powiadają, że Tydzień pozwala sobie za wiele, wtrąca się do naszych zabaw, iż te są zbyt huczne; gdzieindziej prawi że gospodarstwo prowadzi się bez rachunku, dalej że ktoś za często za granicę wyjeżdża. Co komu do tego jak my żyjemy, jak my rządzimy, to też cała nasza okolica nie lubi Tygodnia, bo to proszę pana zuchwalstwo w nasze rachunki zaglądać. Inny mówi: „Tydzień“ dla miasta może mieć interes. my w mieście nikogo prawie nie znamy,

potrzeby faktor załatwia, po co nam Tydzień?.. „Zanadto jest klerykalne to wasze pismo, powiadają niektórzy, z morałami występuje, za często o nabożeństwach nam pisze!“ Kupujący znów kosztowne cygara jeden z okolicznych proboszczów przypadkowo o Tydzień spytany, podniesionym głosem powiedział: iż na takie niedorzeczności nie ma pieniędzy, woli kupić wina butelkę, niż czytać o tem, że tam ktoś z księży, za wiele od biednego za pogrzeb zażądał; „to bluźnierstwo proszę pana, brak religii, *pozytywizm* ten wasz nowoczesny.

Otóż przyczyny dla których „Tydzień“ ma nie wiele więcej nad stu prenumeratorów, i to z miasta samego przeważnie. A owa aluzyja do jednego z proboszczów jakże zgorszyła niektórych kapłanów tutejszych. Jeden z najinteligentniejszych przedstawicieli tej klassy społeczeństwa mówił do mnie z oburzeniem, że jeżeli „Tydzień“ zaczyna dotykać duchownych, to żaden z nich prenumerować go nie będzie. Ktoś znowu powiada, że w takim razie należało wymienić osobę. Ależ nomina sunt odiosa i pismo nie ma prawa nazywać po imieniu kogokolwiek. Jeśli więc tak sądzi jeden lub drugi z myślących przedstawicieli duchowieństwa, cóż mówić o uboższej duchem ich braci. Smutno doprawdy.

A jednak „Tydzień“ Piotrkowski zasługuje na inną lepszą dolę. Zdarzają się w nim artykuły, które każdemu z organów prasy szerszego nawet zakroju przyniosłyby rzeczywistą chlubę. Takim naprzykład jast artykuł zamieszczony w odcinku ostatniego numeru Tygodnia „Pod placki“ który radziłbym przeczytać ciekawym. Tyle w nim werwy i owego rzadkiego dziś jak kwiat paproci dowcipu, tyle przytem wspaniałych porównań, tak wszystkie te zdania, jakkolwiek aforystycznie wypowiedziane, łączą się w jednę całość pełną rozmaitości i serdecznego humoru, że nie możemy się powstrzymać od przytoczenia z długiego artykułu, choć tych tylko ustępów które odnoszą się do naszego miasta. Czytajcie sami i osądźcie:

„Miasto nasze jest niewdzięcznem polem dla sztuki dramatycznej. Nie każdego morza wody sprzyjają żegludze — spokojna powierzchnia kryje rafy szkodliwe. Czy obojętność publiki jest rafą? Biegły sternik unika miejsc niebezpiecznych — pan Teksel unika naszego miasta. Czyby pan Teksel był równie dobrym marynarzem jak artystą. Być może. Qui ne risique n'a rien. Pan Krauze zawija do naszych brzegów. Czy przepłynie szczęśliwie cieśninę Ratajewicza? Zakłady się sypią — patrzmy na barometr. Twarz posępna wróży nie dobrze. Powietrze się oziębia — mgła — zanosi się na burzę — statek gnany wiatrem osiada na mieliźnie. Kronikarze wypraw na morze lodowate notują jedno rozbicie więcej.

Inni płyną w sfery cieplejsze. Aeronauci płynęli do Kolchidy. Pan Koźmian żegluje ku Kielcom. Jazon wyprawiał się po złote runo. Pan Koźmian poprzestaje na papierkach. Czy my nie mamy papierków? widocznie Kielce mają ich więcej, co spowoduje że nie ujrzymy flagi krakowskiego Lewiatana — nie poznamy jego dzielnej załogi. Szkoda. Szkoda jest skutkiem winy: — tak utrzymują sędziowie, — oskarzeni zwykle przeczą — to naturalna różnica zdań. Miasto nasze jest długie. Długość to dopiero jeden z wymiarów sześcianu — nie możemy więc powiedzieć że jest wielkie. Wielkość ma swoje warunki, — są miasta którym tych warunków brakuje.

Wracamy do założenia — miasto nasze jest długie. A vol d' oiseau wygląda wspaniale: pewien aeronauta utrzymywał, że przypomina neapolitańskiego lazzarona wyciągniętego na słońcu; — podróżnicy równają je z grzechotnikiem w chwili trawienia. Porównania — to kwestyja formy. Dochodzimy do kłębka. (Czytelniku wytęż uwagę!) Mamy formę — zajrzyjmy w nią. Gwałtu! Ratujcie! Okradziono nas — forma próżna. A czy to nie warto powtórzenia? Niektórzy w tym artykule poznają pióro samego redaktora, czy tak jednakże jest istotnie, powiedzieć Wam nie umiem.

X. Y. Z.

Najważniejszą i obchodzącą całą ludność naszego kraju sprawą jest zapowiadana wkrótce organizacyja sądownictwa, zbliżona do reformy funkcyjonującej w Rossyi od 1865 r. Zamiast dotychczasowych instancyj, będziemy mieć we wsiach Sądy Gminne, Zjazdy pokojowe, w miastach Sądy Pokoju, Okręgowe, i w Warszawie Izbę Sądową z Senatem, jako Sądem Kassacyjnym. Jest to ta sama zewnętrzna konstrukcja co w Cesarstwie, z tą przecież różnicą, że Sędziowie Pokoju tam wybieralni i niezmienialni u nas będą mianowani przez Rząd, i że instytucyja Sądów Przysięgłych u nas nie będzie wprowadzoną. Przy postępowaniu sądowem używany będzie język ruski, stronom jednak wolno się bronić po polsku.

Przy kolei Warsz. Terespolskiej istnieje dla Urzędników i Oficyjalistów tejże drogi pożyteczna bardzo instytucyja prywatna p. t. „Kasa Zjednoczenia.“ Ustawa jej nie ma nic wspólnego z Ustawą Towarzystwa drogi Terespolskiej, pomimo to jednakże pewne indywidua z Towarzystwa jako zwierzchnicy — uważają za właściwe wywierać nacisk na przedwyborczą agitacyją członków kasy, która właśnie obecnie ma sobie wybrać nowy zarząd. O ile wiemy wpływy podobne na losy Kasy Zjednoczenia, dotąd nie bywały wcale zbawienne. lepiej więc i taktowniej byłoby nie mieszać się w cudze sprawy — bo korzystanie z pozycyi i wywieranie nacisku osoby na którym w razie opozycyi można dotkliwie dać poczuć swoję władzę — uchybia człowiekowi ceniącemu własną godność i jest niesumiennością.

P. Aleksander Gierymski w tych dniach wyjechał z Warszawy, udając się na dalsze studyja przez Stutgart i Monachijum do Rzymu. Dwa jego obrazy które dotąd znajdowały się w salonie Towarzystwa Zachęty Sztuk pięknych: „Osterja“ i „Gra w Mora“ zabrano już do Petersburga, skąd następnie przez Paryż pójdą aż na Wystawę Filadelfijską. Obrazy te fotografował p. Kowaliński a Tygodnik Ilustrowany ma dać ich reprodukcyją na drzewie podług rysunku jednego z artystów warszawskich, specyjalnie do tego upoważnionego przez pana G.

Gdyśmy zawadzili o sztukę, możemy za jedną drogą powinszować młodym naszym artystom, kształcącym się w Akademii Monachijskiej, odznaczeń na tegorocznej Wystawie Akademickiej.

P. Stenzel u prof. Bartha w kl. rysunku otrzymał medal brązowy. W szkole malowania Piątkowski i Alchimowicz medale srebrne Szwojnicki i W. Kossak—wzmianki pochwalne.

ROZMAITOSCI.

Gra w salonie bonapartystowskim. Do gazety Temps piszą, że przed kilku dniami w pewnym salonie bonapartystowskim zaszła ciekawa scena. Grano tam w upowszechnioną grę, znaną pod nazwiskiem sekretarza. Zależy ona na tem, iż na kawałkach papieru, zwiniętych jak można najstaranniej, pisze się cały szereg pytań. Tak pytania jak i odpowiedzi są bezimienne, *anonymes*. Jedno z pytań było osnowy następującej: „Jak ubierzecie waszego młodego księcia w dzień jego powrotu?“ Odpowiedzi były zabójczo jednostajne, wszyscy proponowali ubrać go w mundur jenerała dywizyi. Jakież było zdziwienie obecnych, gdy czytający, rozwinąwszy ostatnią kartkę, przeczytał następną, krótką, lecz dobitną odpowiedź: „W sukno sedańskie.“ Odpowiedź tę przypisują pewnemu politycznemu człowiekowi, rozumnemu, lecz nie dającemu się złapać, który, że tak powiemy, należy do grupy bonapartystowskiej, ale nigdy nie zgadza się na to, aby nazwisko jego zamieszczone zostało na listę.

* * *

† *January Suchodolski*, urodzony w 1815 r. zmarł w tych czasach we wsi swojej Boimin. Był on przez jakiś czas jedynym przedstawicielem u nas malarstwa historyczno batalijnego. Służył naprzód wojskowo, następnie pracował pod kierunkiem Horacego Verneta. Prócz kilku obrazów przedstawiających dawne zdarzenia, jak bitwa pod Warną, epizody z wyprawy Wiedeńskiej, malował najwięcej ze swych własnych wspomnień, utrwalając na płótnie wielką epopeję Napoleonowską. Jakkolwiek wszyscy młodsi od niego artyści, pracujący na tem polu przewyższyli go pod wszystkiemi względami, niemniej Suchodolski zajmuje wybitne stanowisko w historyi polskiego malarstwa, tak swą płodnością, kierunkiem, jakoteż wybitną indywidualnością, pozwalającą na pierwszy rzut oka rozpoznać obraz malowany przez niego pomiędzy masą innych. Pozostawił syna Zdzisława nieposledniego malarza rodzajowego.

Дозволено Цензурою.—W drukarni E. Skiwskiego,—Warszawa, Elektoralna, Nr. 758 (nowy) 28.

Redaktor i Wydawca Henryk Perzyński.